HARCERZ

Warszawa, Marzec 1917 roku. № 1. Cena 2 złp. w Warszawie i na prowincji

„Jeśli w Waszym kraju jest dużo podobnych do Ciebie chłopców, to nieprędko dadzą sobie z wami radę''.

„*W PUSTYNI I W PUSZCZY*''.

CZUWAJ!

Czuwaj nad młodą polską duszą, aby zawsze we wnętrzu swem miała słońce i pogodę jasną. Bądź zdrów, jak źródlana woda, wesoły —jak pogoda naszych świtów wiosennych, bogaty w cnotę polską— jak ziemia polska. —

Czuwaj nad tem, aby w twem najbliższem otoczeniu było cicho, spokojnie i sprawiedliwie — aby brat brata nie krzywdził i nie obrażał, aby słabszy u silniejszego miał zawsze wyrozumienie.

Czuwaj, abyś był małym żołnierzykiem z duszą pra-polskiego witezia, w którego ryngrafie na piersiach Bóg się przegląda i z oczu mu męstwo wypromienia. W tworzeniu z siebie prawdziwego rycerza — dopomóż ci Bóg. —

Czuwaj, abyś Mu był wierny do skonu. —

Czuwaj nad twoją służbą Ojczyźnie, aby zawsze była wierna prawdzie i pracy, aby z niej był plon polski serdeczny dla ziemi i braci, radość dla blizkich, pociecha i duma dla dalekich.

Czuwaj, aby z ciebie był dobry człowiek i niech ci to po śmierci na grobie napiszą.

Czuwaj Druhno — aby w Polsce jaśniała nam wszędzie miła i jasna postać polskiego dziewczęcia, przed której godnością i czarem prostoty chyliły się dawniej rycerskie pióropusze. Dzisiaj niechże się chylą stare i młode głowy, a sercu niech hołd szacunku składają —

Czuwaj, aby z Twych rąk sypało się na ziemię rodzinną ziarno zbożne ukochania dobra i prawdy, miłosierdzia i pogody. Czuwaj, abyś była jasnym promyczkiem w domu, dzielną przodownicą śród twych sióstr i rówieśnic, królewną w sadzie Twojej własnej chaty, służką wierną Boga i Ojczyzny.

Czuwajcie nad orlą skrzydeł waszych potęgą, nad mocą i zdecydowaniem waszych lotów wzwyż ku ideałom, nad czystością waszych zamiarów i zaczynów, nad szczerością serc waszych.

A niechże Wam ziemia-matka śpiewem naszych ptasząt, dzwonną gędźbą owadzią, szumami lasów i zbóż opowiada sny swoje —

Niech się do Was śmieje wiosna w mgły srebrne i puchy złote bazi drzewnych otulona —

Niech was tuli ciepłe lato w aromatach kadzielnic ziół i kwiatów.—

Niech Was darzy jesień owocem zdrowia i spokojem ciszy zadumanej —

Niech Wam szepce stara zima mądre wieści i sagi o mądrości, która jest przedwieczną, bo z nieba pochodzi.—

Niech Wam mówią wszystkie echa i głosy ziemi, że u nas wszędzie jest pięknie, że wszędzie czeka rąk naszych praca nad wskrzeszaniem niepodległości, lecz trzeba ją robić mądrze i serdecznie, bo ,,Polska to wielka rzecz''.

Czuwaj! Ziemia wstaje ze snu rozmarzona — mgłami z łąk białemi przeciera sobie oczy — pacierz szepce szumem borów i pyta ciebie — harcerzu — cicho, czy dzień twój dzisiejszy będzie lepszy od wczorajszego, ileś zdobył wczoraj z niepodległości twego Ducha przeciw wadom, błędom, złym odruchom, przywarom—?

Podnieś na nią oczy kochające i mów matce prawdę — Pomyśl i mów —

Czuwaj!

Konrad.

Myśli o prawie.

Pod tym nagłówkiem zamieszczać będziemy niewielkie artykuły, krótkie myśli o prawie harcerskiem. I artykuły i myśli te mogą być wątkiem do gawęd dla szarż, a też każdy harcerz który dłużej je rozważy, więcej się nad nimi zastanowi, stanie się może bliższym swego celu.

Na słowie harcerza polegaj, jak na Zawiszy.

I. Słowo harcerza nie mija się z prawdą. Słowo ma tu oznaczać jasno, dokładnie tylko to, co jest w rzeczywistości, nie zaś to, co się ,,zdaje", ,,przypuszczalnie ma być". W tym celu należy zawsze sprawdzać swą wiedzę, swe poglądy, swe pojęcia, czy są jasne i ścisłe, czy zgodne są z rzeczywistością. W długim okresie niewoli wielokrotnie popełniano błędy w walce o wolność tylko z tego powodu, że nie liczono się z rzeczywistością. Szliśmy po omacku, naoślep, niepewnie. Szliśmy, nie wiedząc po jakiej drodze dziemy. Postępowaliśmy według swych pragnień, według tego, co chcieliśmy widzieć, a nie według rzeczywistości. To też rzeczywistość nieraz okrutnie się na nas zemściła. Harcerz zaś będzie jasno zdawał sobie sprawę ze znaczenia słowa, a zjawisko rzeczywiste, którego słowo to jest odpowiednikiem, pozna gruntownie. Wówczas nie popełni błędów wskutek niedocenienia rzeczywistości. Pytać będzie wciąż siebie: ,,Czy naprawdę tak jest, czy mnie się tylko zdaje?". ,,Na słowie harcerza polegaj" — bo słowo jest czemś takim, na czem można polegać, jest podstawą czynów, a podstawą nie kruchą, nie urojoną, lecz rzeczywistą i pewną.

II. Słowo harcerza ma wartość, jest porządne, wypowiedziane z namysłem. Harcerz dba o swoją mowę. Przedewszystkim, nie kłamie, nie mówi świadomie tego, czego niema istotnie, mówi prawdę. Ale również nie koloryzuje, nie ubarwia swego opowiadania prawie nienaumyślnie, chcąc tylko, żeby to ,,piękniej wypadło". Harcerz nie buja po obłokach, nie stara się dać czemukolwiek, a zwłaszcza swoim przeżyciom w opowiadaniu pięknej okrasy. Nigdy też nie mówi w gniewie, czy w zapalczywości; tego nie dopuszcza też posłuszeństwo prawu ósmemu. Kiedy o ludziach sąd wydaje, nie zapomni niczego, co o nich dobrego wie, gdyż inaczej łatwo może ich skrzywdzić. Mówi też po polsku nie tylko poprawnie, ale dba nawet obok dokładnego wyrażania swych myśli, troskliwie i o piękno swej rodzinnej mowy. *E. M.*

III. Jeżeli na słowie twem mają ludzie polegać, nie wolno ci słów rzucać ,,na wiatr". Przeciwnie, staraj się, by na każdem twem słowie warto było polegać. Mów więc jak najczęściej słowa, które mają wagę, mogą być dla innych pożyteczne, uchronią ich od złego lub pchną ku dobremu.

,,Mowa jest srebrem, a milczenie złotem" — mówi przysłowie. Nim coś powiesz, namyśl się. Słusznie powiedziano: ,,Gdyby ludzie mogli pomyśleć dwa razy, nim raz się odezwą, mówiliby dwa razy lepiej i mądrzej".

Tak mówić, warto się nauczyć.

Na tej też zasadzie polega nasz harcerski obowiązek dobrej rady. Pomoc bliźniemu możemy udzielać w różny sposób. Toć niekoniecznie harcerz musi czekać sposobności by kogoś z niebezpieczeństwa wyratować, by ocalić komuś życie, potrzebującemu dopomóc — nieraz starczy dobra rada nawet za największą przysługę. Tembardziej, że wogóle radzić prawdziwie nie potrafimy, a rzadko mamy odwagę zwrócić się otwarcie do kogoś z prośbą o jej udzielenie.

Wiadomo, że dobra książka może odegrać w życiu człowieka wielką rolę, pchnąć go w tym lub owym kierunku, wskazać drogę właściwą, otworzyć nowe horyzonty. Książka jest taką samą radą, jeno autor mówi za pomocą martwych liter, ty zaś możesz radzić słowem żywem.

Doradziły dobre książki niejednemu wielkiemu człowiekowi. W każdym przecież życiorysie takich ludzi rzuca się nam w oczy zdanie: za młodu, czy to w wieku dziecinnym rozczytywał się w tym lub innym autorze. Przeczytanie ,,Żywotów Świętych" zmieniło zupełnie kierunek życia św. Ignacego Lojoli.

Podobno Napoleon zawsze posiadał pod ręką ulubioną swoją książkę: żywoty znakomitych ludzi. To samo wiemy o Kościuszce. Obrawszy sobie jeszcze w latach dziecinnych za wzór bohatera greckiego, Tymoleona, Kościuszko temu wzorowi pozostał wierny i dorównał mu, jeśli nie przewyższył. Dobrze, gdy postarasz się o takiego doradcę pod postacią dobrej książki; dobrze, gdy postarasz się o doradcę w osobie prawdziwego, rzetelnego przyjaciela, harcerza, na którego słowie będziesz mógł polegać. Przypominam sobie piękne porównanie: ,,Jeśli nakształt kwiatów lub klejnotów złożysz w serce przyjaciela myśl piękną, dar twój będzie darem anioła". Rzeczywiście, z czem można porównać uczucie szczerego zadowolenia po udzieleniu dobrej rady, a szczególniej, gdy wpłynęła ona dobrze na czyjś los, osłodziła lub rozweseliła choćby jedną chwilę?

Zachowajmy jednak i tutaj ,,środek złoty". Nie przeceniajmy czyjejś rady dlatego tylko, że ona od tego człowieka pochodzi. ,,Rada jest jak moneta, wszystko jedno od kogo pochodzi, byleby była z dobrego kruszcu". Nauczmy się oceniać właśnie gatunek owego kruszcu. Widzimy przecie, że wartość rady zależy nie tyle od tego, kto ją daje, ile od tego, kto ją otrzymał. Boć o ile za mojemi słowami, w których zawarłem radę, nie pójdzie czyn, słowa moje na nic się nie zdały. Dosadnie mówi o tym przysłowie: ,,Mów do niego, jak do ściany"; a dopełnia całości drugie: ,,rzucaj groch o ścianę". Widocznie wada to u nas powszechna!

Nauczmy się wyciągać rady nawet z tego, co się nam może wydawać mniej dobre, albo wprost złe. Poznanie błędów cudzych, uczy nas, jak unikać tych błędów. Czyż nie na tym polega praktyczne znaczenie uczenia się historji?

Naturalnie, jeżeli ktoś dokoła otoczy się błędami, będzie się ciągle w nie wpatrywał, straci możność rozeznania między błędem a prawdą. Wiadomo przecie, jak przy powtarzaniu ciągle jednego i tego samego błędu, choćby bezwiednie, upewniamy się że błędem jest właśnie prawda. Każmy chłopcu przepisywać słowa napisane błędnie z tym samym błędem, a napewno popełni później błąd ten sam dziesiątki razy, choćby już wtedy doskonale wiedział, jak się słowa te piszą właściwie. Zadaniem dobrej rady powinno być raczej nie odwodzenie od błędów, lecz podawanie właściwych dróg prawdy. Przeczenie zwykle źle na nas oddziaływa. Nie mówić: ,,nie rób tego, czy owego", lecz: ,,postępuj tak a tak"—mało kto potrafi. Stąd trudność w udzielaniu rad w słowach, na których można w zupełności polegać, a które są nakazem, nie zakazem. Słusznie powiedział Sienkiewicz: ,,Łatwiej jest na świecie o filozofję, niż o dobrą radę". Tym więcej starajmy się o to, by mniej filozofować, a więcej radzić. *Ster.*

IV. Znam chłopca, który przyszedł do drużynowego i podał się do dymisji, a to dlatego, że, będąc na święta u rodziców na wsi, nie powiedział im, że został się na semestrze i wprowadził ich przez to w błąd. Po powrocie przyszedł do przekonania, że splamił tym postępkiem honor i że nie może należeć do drużyny. Czy był on harcerzem? Czy też był on wzorem harcerza? A co powinien był zrobić po wzięciu dymisji?

Tem lepsi jesteśmy, im więcej mamy sobie do wyrzucenia, bo to dowodzi czułości naszego sumienia. Gdy tylko mamy jakiś niezałatwiony rachunek z sumieniem, honor nasz jest niewątpliwie na szwank narażony. I nie pomogą żadne wybiegi czy wykręty, sumienie nie da nam spokoju.

Czy wiecie więc, co to jest honor?

,,Ze starego dzienniczka 1912". Ster.

V. Kto nie jest punktualny i obowiązkowy, harcerzem być nie może i nigdy nim nie zostanie, ponieważ nikt na niego z pewnością nie będzie mógł liczyć.

Brak punktualności i złączonej z tem obowiązkowości jest niestety naszą wadą ,,narodową", która tyle razy sprowadziła na nas klęski i nieszczęścia. Wszak wiecie, że Kościuszko tylko dlatego przegrał pod Maciejowicami, ponieważ Poniński nie przyzwyczajony do punktualności, nie przyprowadził na czas swego oddziału. Harcerze nasi mają tedy za pierwsze zadanie przyzwyczaić siebie, a z czasem i innych, do punktualności i obowiązkowości. Jeżeli tedy powiecie: ,,zbierzemy się o godzinie szóstej", to znaczy, że możecie przyjść dziesięć albo pięć minut przed szóstą, jeżeli nie umiecie przyjść punktualnie o szóstej, ale o szóstej wszyscy musicie być na miejscu.

Przekonacie się dalej, że punktualność nauczy was cenić najdrobniejsze chwile czasu, które można zawsze użyć na nauczenie się czegoś nowego albo zrobienie czegoś dobrego. Pierwszym krokiem harcerza w karności jest punktualność.

Instruktor.

STAŚ I JAŚ.

VI. Staś zdawał dziś na 3-ci stopień: zapytany o pomniki królów polskich w Warszawie z dumą je wyrecytował. Gorzej było, gdy się spytano bliżej o dzieje Jana Sobieskiego, pamiętał trochę z historji, opowiedział więc to wszystko i zdawało mu się, że już skończył egzamin.

Ale zapytano znowu. ,,A widziałeś obraz Brandta? Co on przedstawia? ,,Widziałem — ale w książce".— No a na wystawie Zachęty Sztuk Pięknych nie byłeś? Nie byłem, proszę druha, bo nie miałem pieniędzy".— ,,Szkoda jednak bardzo, tam tyle ładnych dzieł sztuki — warto, żebyś się z nimi zaznajomił; no egzamin skończony — pamiętaj, jeśli kiedy nadarzy się sposobność, to postaraj się zwiedzić Wystawę".

Staś odebrał kartkę z podpisem egzaminatora i odszedł od stołu.

Tymczasem Jaś, który słyszał całą tę rozmowę zbliżył się do niego i po przywitaniu braterskiem ,,Czuwaj", zaproponował zwiedzenie Wystawy.

Umówili się więc na 11-ą godz. na rogu ul. Traugutta i placu Małachowskiego i rozeszli się.

Staś pobiegł do domu na Ludną, by zawiadomić, że trochę później przyjdzie dziś na obiad, Jaś zaś również udał się do domu, poprosić ojca o bilet członkowski Tow. Zachęty Sztuk Pięknych i punk o 11-ej spotkali się chłopcy w umówionym miejscu.

Stasia jednak zaciekawiło, jak to oni wejdą na wystawę. Pożyczać pieniędzy od Jasia nie chciał i nie mógł, bo i z czegóż mu odda, zapytał się więc towarzysza.

Jaś pokazał bilet, mówiąc ,,Czytaj" — ,,ważny dla członków i rodzin".

— No i cóż z tego?

— A no widzisz, przy okazaniu tego biletu wydają dla rodzin bilety, zażądam więc dwu i wejdziemy.

— Nie Jasiu, ja się nie nazywam tak, jak napisano na bilecie, nie jestem członkiem rodziny Twojej, nie mogę więc iść za takim biletem.

— Ale mój drogi, tyle razy wprowadzałem kolegów — zresztą wszyscy tak chodzą.

— O nie, mój kochany! mogą wszyscy robić, ale ja nie pójdę, wolę wrócić do domu, lecz wiedzieć, że dziś zdawałem z prawa i stwierdzić, że je rozumiem.

— Staśku! Ależ tyś mi otworzył oczy! przecież to taka prawda, a ja się nie zastanowiłem — to taki

powszechny czyn. A nam nie wolno przecie haseł naszych brać powierzchownie — musimy żyć prawdą i nie robić wyjątków dla naszego sumienia.

,,Trzeba budować życie lepsze i prawdziwsze".

P.

RAD POUFNYCH HARCERSKICH DZIESIĘCIORO.

1. Nie pracuj na tytuł dzielnego harcerza tylko nogami i rękami, w musztrunek i formę kładąc cały twój dowcip; — pomyśl o głowie i o sercu, aby nogi miały co obnosić po Polsce poważniejszego ponad plecak i flaszkę z wodą.

2. Miej wyraz na ulicach pogodny i wesoły, lecz pogardzaj wesołością wrzaskliwą, zawadjacką, buńczuczną, sięgaj po wesele zdrowia i prawdziwego humoru, które ma umiar w dystynkcji i dobrym wychowaniu.

3. Precz z tężyzną koszarową, która lekceważy mydło, grzebień i proszek do zębów, — precz z żołdacką junakierją, która sprośnością nadaje sobie tony rzekomo rycerskie. Rycerz masz być — a nie ,,stupajka".

4. Nie obwieszaj munduru sznurkami i świecidłami, boś nie lalka z magazynu z ubraniami, która pod mundurem ma tylko druty i próżnię. Noś szarżę głębiej — pod mundurem — w sercu. Baczność na nie!

5. Nie nadużywaj słowa harcerskiego dla nadania Twym słowom większej powagi. Nie potrzebuje się zaklinać ten, kto waży słowa i szanuje samego siebie.

6. Nie mów za dużo, lecz nie mów i za mało, gdy mówić musisz. Zapomnij o ,,podchodzeniu", gdy masz stosunki z bliźnim. Przeciw temu, co cię boli i co znieważa prawdę Twego serca — idź do ataku frontem rozwiniętym.

7. Tam, gdzie najtrudniejsza placówka dla ducha harcerskiego, staw na wedecie samego siebie.

8. Nie lękaj się bitwy przegranej, nie łam się i nie opadaj. Kto chce zwyciężyć, musi umieć przegrywać jaknajoględniej.

9. Umiej patrzeć w życie uważnie i spokojnie. Kształć sobie wzrok metodycznie na widnokręgach coraz dalszych i na zjawiskach coraz drobniejszych. Nic nie powinno uchodzić Twoich oczu.

10. Baczność na sztandar! On się chwieje, gdy krok Twój słaby. Trzymaj go pod wiatr krzepko, nieś go ponad głowy innym, niech podziwiają, jak jest czysty i wzniosły.

K.

Jen. R. BADEN-POWELL.

Jak zostałem skautem?

Dlatego tak doradzam wszystkim chłopcom, żeby zostali skautami, bo sam wziąłem się do tego, jako mały chłopiec, i wiem, że tylko w ten sposób można nauczyć chłopców cieszyć się życiem i dawać sobie radę.

Moją karjerę skautową rozpocząłem jako chłopiec okrętowy, gdyż w domu mieliśmy mały żaglowy jacht, a ja i moi trzej bracia stanowiliśmy załogę tego okrętu. Każdy z nas po kolei musiał być oczywiście także pomywaczem i kucharzem.

Nigdy nie zapomnę mojego pierwszego doświadczenia w tym zawodzie. I na mnie przyszła kolej ugotowania obiadu. Wy już wiecie, chłopcy, co to znaczy! Mój pierwszy obiad także nie był dobry. Przekonałem się o tem dokładnie, bo musiałem go zjeść od początku do końca. Nie chciałem, ale musiałem, bo moi bracia, rozgniewani i głodni, kazali mi zjeść cały za karę. To pomogło: zaraz nauczyłem się trochę gotować od kucharki w domu, a często też przypatrywałem się u piekarza, jak to się chleb piecze.

Gdy byłem w mieście, starałem się zapamiętać sklepy i nazwy ulic. Często, przypatrzywszy się planowi miasta, zapuszczałem się w jakiś nieznany mi zakątek, a potem wracałem, nie pytając się o drogę, lecz starając się przypomnieć ją sobie z planu. Tym sposobem poznałem też boczne ulice i ,,krótsze drogi". Starałem się być obecnym przy każdym pożarze i zawsze żyłem w przyjaźni ze strażakami, którzy bardzo wiele mnie nauczyli z dziedziny pożarnictwa.

Przypominam sobie, jak pewnego razu wjechaliśmy z naszym jachtem między skały. Morze było dosyć niespokojne; łódź kołysała się mocno, a ja siedziałem skurczony, myśląc ze strachem, co to z tego będzie. Właśnie hak od zaczepiania łodzi wpadł w morze, a ja wcale nie myślałem go łapać, tylko rozważałem, kiedy i ja za nim pójdę. Do przytomności przywołał mnie głos mojego starszego brata, który wyłajał mnie ostro i kazał hak złapać.

O — pomyślałem sobie: kiedy tak trapi się o głupi hak, to pewnie nie jest jeszcze z nami tak źle!" i wziąłem się do roboty.

Ta nauka przydała mi się bardzo później w życiu. Gdy kiedykolwiek byłem w trudnym położeniu, zawsze przypomniałem sobie, że nie należy rąk opuszczać, ale właśnie tem serdeczniej zabrać się do pracy i dodawać innym otuchy.

Naprzykład, w czasie wojny, gdy nieprzyjaciel zanadto nam dokuczał i strach ogarniał serca, pomagało czasem wesołe pytanie: O, a gdzie to kucharz? Możebyśmy co zjedli?

Nietylko wybrzeża Anglji objechaliśmy na naszym okręcie, ale czasem robiliśmy wycieczki i w głąb lądu na małej składanej łódce. Więc dotarliśmy aż

do źródeł Tamizy; stamtąd w dół rzeki Aronu, następnie przez Bath i Bristol do ujścia Saverny, a potem rzeką Wye'a do Walii.

Mieliśmy z sobą namiot, naczynia i cały czas spędziliśmy na świeżym powietrzu. Dobre to były czasy! Oczywiście, żeby sobie tak wystarczać, musieliśmy umieć nietylko wiosłować i pływać, ale także zakładać obóz, osuszać grunt, wiązać węzły, rozpalać ogień, prać i gotować, oj! gotować!...

Chcąc nałowić ryb lub schwytać królika, prosiliśmy właściciela o pozwolenie. Króliki chwytaliśmy w łapki lub strzelaliśmy z małego rewolweru.

Bardzo były miłe te wycieczki, ale może jeszcze bardziej lubiłem piesze wędrówki. Wówczas każdy z nas miał worek na plecach, a sypialiśmy, gdzie się dało. Najczęściej wstępowaliśmy do jakiegoś farmera i kupiwszy chleba, mleka lub jaj, prosiliśmy o noc leg na sianie w stodole. Jeżeli była pogoda, to sypialiśmy pod kopicami siana lub koło płotów, nakrywszy się sianem lub gazetami.

W ten sposób poznawaliśmy nasz kraj, a także zwierzęta, ptaki, drzewa i rośliny. Uczyliśmy się rozpoznawać drogę we dnie i w nocy, robiliśmy plany i szkice. W miastach zwiedzaliśmy fabryki i staraliśmy się przypatrywać dokładnie, jak się co robi, o ile mogliśmy, próbowaliśmy sami wykonywać różne rzeczy. W ten sposób nauczyliśmy się wielu rzeczy i z pewnością tak spędzona moja młodość skroniła mnie do tego, że teraz namawiam wszystkich chłopców, aby podobnie życie rozpoczynali.

Al. JANOWSKI.

Osadnicy polscy w Stanach Zjednoczonych.

57 różnych narodowości przybywa szukać lepszej doli pod gwiaździstym sztandarem Stanów Zjednoczonych. Najwięcej ląduje tutaj Włochów, potem Żydów, a trzecie miejsce zajmują Polacy.

Znaczna większość naszych wychodźców znajduje zajęcie jako robotnicy fabryczni. Robotnik polski jest wyzyskiwany i zarabia mniej, niż robotnik innej narodowości.

Natomiast rodacy nasi mają ustaloną znakomitą opinję, jako rolnicy, i na tym polu nikt im dorównać nie może. Tysiąco-letnie życie rolnicze wycisnęło swe piętno na uzdolnieniu i upodobaniach narodu: dać chłopu polskiemu wydmy, czy torfowiska, pustynię, czy puszczę, potrafi on zamienić je na teren urodzajny, a każdy zagon

...wychodzi z pod tej chłopskiej ręki
Przypodniesiony, jak ów kielich Męki.



Dom farmera polskiego w dolinie Connecticut.

Ze zbiorów p. Al. Janowskiego.

Czy damy chłopu bawełnę, czy tytuń, ananasy czy matę, wnet on zrozumie potrzeby i ducha rośliny i potrafi znakomicie powiększyć jej zbiory.

To też wszystkie naukowe i urzędowe źródła w Stanach jednozgodnie oddają hołd rolnikowi polskiemu.

Farmerzy nasi w Texas plantują bawełnę: z akra Polak zbiera bawełny więcej, niż Niemiec, Holender, lub Szwed i do tego jeszcze bawełna polska jest o wiele wyższego gatunku, niż bawełna innych farmerów. Kupcy bawełny najpierw nabywają produkcję polską, a czego im brakuje, nabywają dopiero u innych farmerów.

W dolinie Connecticut Polacy uprawiają tytuń. Wyrugowali oni z żyznej doliny rzecznej wszystkich innych kolonistów, a pod uprawę tytuniu zajęli nawet i wzgórza nadrzeczne, na których poprzednicy nie chcieli sadzić tytuniu, że on się tam nie uda. Corocznie w maju akademja rolnicza w Amherst urządza 3-dniowe kursy dla Polaków, co w programie nazywa się „Polskie dni" (Polish days).

Pełen błot i nieużytków Stan Wisconsin stał się terenem licznej kolonizacji polskiej. Uprawiają tu żyto i kartofle, ma więc rolnik warunki życia podobne do krajowych, to też targi tygodniowe w Stevens Point zupełnie robią wrażenie jarmarku w naszem miasteczku prowincjonalnem. Raport gubernatora Wisconsinu do Kongresu w Waszyngtonie stwierdza: „Ziemie naszego stanu przed 20-tu laty dzikie

i bezpożyteczne, stały się płodne i kwitnące, dzięki mozolnej pracy farmera polskiego".

Obecnie, pod siekierami kolonistów polskich padają odwieczne puszcze stanu North Caroline i pierwsze skiby dziewiczych tych dzikich ziem odwala pług polskiego oracza.

Jak tedy przed wiekami Polak był pionierem cywilizacji tam, gdzie szumią „Puszcz litewskich przepastne krainy", tak dzisiaj wydziera on dzikiej naturze tereny pod rozwój cywilizacyjny na drugiej półkuli.

Z okrutną w puszczę lud rzucił się mocą
Ciąć one bory, stojące z prawieka,
Lecz puszcza stała twardo...

Ciężkie mozoły karczowania opromieniała myśl powrotu w przyszłości do Ojczyzny, która we wspomnieniach wychodźcy była uosobieniem dobroci i radości.

Hej ziemio, ziemio, ty matko rodzona!
Łanie ty wdzięczny i rolo życzliwa!

To wspomnienie ojczyzny nie opuszcza nigdy kolonisty polskiego i jest dla niego balsamem wśród ciężkich walk i przeciwności, a urzędowe źródła amerykańskie stwierdzają, że żadne ze wspomnianych 57 narodowości nie wynaradawia się tak trudno, jak Polacy.

□□□□□□□□

Z Czarnego Lądu.

Uprzejmości D-ra S. Zaborowskiego zawdzięczamy wyjątki z opisu wyprawy myśliwskiej, odbytej przed kilku laty. Zdjęcia fotograficzne zostały łaskawie udzielone przez p. hr. Trojanowskiego-Mycielskiego.

W słońcu, wśród złotych piasków nad Nilem, z rozkazu Faraona, jak pies-olbrzym na straży, jak lew przykuty u progu pustyni, leży Sfinks; kamiennemi oczami patrzy w nieskończoność i strzeże tajemnic Świętej Rzeki, którą z głębi Czarnego Lądu



Obóz nad Guaso-Nyiro.

życie płynie. Pięćdziesiąt wieków, pięć tysięcy lat minęło — wieczność prawie, a Sfinks nieruchomy, leży nad Nilem i czuwa. Narody, religje, trony rodziły się w jego oczach, żyły i umierały, a on, jak życie samo odwieczny, przetrwał i patrzy, jak patrzył na świat Faraonów. Przez długie dni swego życia, widział Babilon, Rzym, Kartaginę; widział, jak powstały i jak poszły w proch. On jeden tylko, niespożyty, granitowy, oparł się, i, zawsze ten sam, spogląda na pokolenia mrówek ludzkich, snujące się u jego stóp.

Dragomani mówią, że w miesięczne, jasne noce Sfinks uśmiecha się niekiedy. To rozmowa dwóch przyjaciół. Wieczny podróżnik miesiąc opowiada staremu druhowi swemu, Sfinksowi, co podczas ostatniej wędrówki widział na ziemi. Nie zmieniło się tam

nic; od czasu narodzin Sfinksa, od początku świata to samo. Po staremu ludzie, przeklęte plemię Kaina, mordują się między sobą, gniotą słabszych, przelewają krew dla złota i krzyżują swych proroków. Sfinks milczy, słucha; na myśl przychodzą mu szakale, co gryzą się nocami wśród złomów jego podstawy.

On widział ich tylu—największych mocarzy świata: Ramzesów, Aleksandra, Cezara, dynastje całe! Na jego kamiennem czole wypoczywały hodowane w słońcu i karmione chwałą orły wielkiego cesarza, zanim zerwały się do lotu, by przelecieć nad światem i — zginąć od mrozów ciemnej północy. Minęło wszystko, jak oka jedno mgnienie, jak krótki sen. Dla niego, dla Sfinksa, wobec nieskończoności, która go rodziła, były to chwile tylko, a najmożniejsi tej ziemi—ziarnkami piasku, rzucanemi wichrem w pustyni. Wiecznym dla Sfinksa jest tylko czas i tajemnica życia-nieśmiertelnem—słońce, gwiazdy i płynąca cicho Święta Rzeka. I słucha Sfinks, co mówi miesiąc; słucha; milczy i drwiąco śmieje się. A kiedy zaświta dzień, kiedy nad Arabją czerwienić się poczyna niebo i kiedy z nad Nilu ciągną już ibisy, kiedy krew i siła tej ziemi, felah-nędzarz staje do pracy, Sfinks kamienieje znowu i — znów martwy, znów obojętny, strzeże rzeki, która życie daje i która we falach swych niesie tajemnice krain zaczarowanych, bajecznych, zaklętych gdzieś daleko w głębiach Czarnego Lądu, w głębiach Ziemi Słońca, w głębiach Afryki.

Jak krople, spadając w ocean nieskończoności, wieki płynęły za wiekami. Sfinks afrykański czuwał i, grzejąc się w płowych żarach słońca, śmiercią groził zuchwałym, chcącym zdzierać zasłony, za któremi niedostępna, nietknięta, tajemnicza, niby zaklęta we śnie czarna królewna, pełna czaru i ponęt, spała Afryka.

Nad morzami, na jej skrajach kwitnęły wielkie narody, państwa i cywilizacje, zadziwiające świat cały. Wiedziano również, że dalej, w głąb, ciągnęły się niezmierzone, martwe pustynie piasków, na których od żaru słońca ginęło życie i na których czekała wędrowca śmierć. Dalej zaś — sięgano tylko baśniami i wyobraźnią. Odgrodzone pustynią, gdzieś w sercu Afryki, skąd Nil wypływał, pogrążone w mroku odwiecznej tajemnicy, leżały w otchłaniach Czarnego Lądu ziemie niedostępne, zaczarowane.

Z krain tych przywożono na rynki świata złoto, kość słoniową, pióra strusie i drogie kamienie. Stamtąd sprowadzano do Rzymu nieznane nikomu dzikie zwierzęta, wypuszczane w arenach, i stamtąd tajnymi szlakami, po manowcach, zlewanych krwią i łzami, pędzono na sprzedaż ,,żywy heban'', ludzkie bydło: tysiące i tysiące czarnych niewolników. Żeglarze, którym droga wypadała wzdłuż wybrzeży dziwnej tej ziemi, opowiadali, że o tej samej porze, co roku, Afryka pali się cała. Takich, których burze wyrzuciły na brzegi, nie widywano potem nigdy; pożerał ich Sfinks, a kości bieliło słońce.

Tak minęła starożytność; wielkie dzierżawy afrykańskie runęły, w gruzy poszły odwieczne dobytki Egiptu, Rzymu, Kartaginy. Co ocalało, startem zostało w wiekach średnich przez pogromy Islamu, we krwi topiące wszystko, co nie od Proroka brało początek. Cokolwiek nie było kamieniem, ziemią i wodą, zniszczono, i ogniem a mieczem odcięto Afrykę od reszty świata. Jej ,,Czarna Część'' pozostać miała zamkniętą jeszcze przez wieki całe, a pokrywająca ją tajemnica stała się odtąd głębszą jeszcze i groźniejszą. Białemu groziła zagłada, bo fanatyczni, zazdrośni muzułmanie, nie chcąc dzielić się władzą i bogactwami, nie wpuszczali na ląd afrykański nikogo i, jak źrenicy oka, strzegli szlaków prowadzących w głąb, do krajów, w których pod strażą Sfinksa ukryte, leżały niezmierne skarby. Niedość było zmylić czujność Maurów, strzegących wybrzeży. Podróżnikom, którym się to udało, inne niemniej straszne niebezpieczeństwa groziły we wnętrzu lądu. Czekały tam na nich bez-

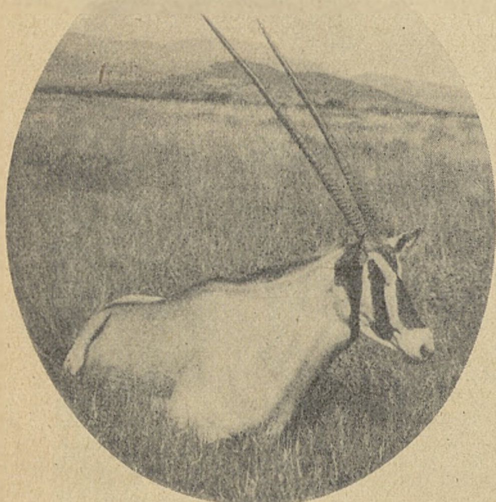


wodne, niezmierzone przestrzenie pustyń i śmierć z pragnienia, dzikie zwierzęta; stokroć drapieżniejsze jeszcze, krwiożercze plemiona czarnych, i straszne nad wszystko, zabójcze choroby właściwe strefom podzwrotnikowym: vomito negro, dysenterja, choroba snu i, wylęgnięta w zgniłych, drzemiących moczarach środkowej Afryki, nie przebaczająca białemu nigdy bodaj, zdradziecka febra.

Opisy pierwszych wypraw afrykańskich Europa czytała ze zdumieniem i — nie wierzyła. Opisy brzmiały zbyt bajecznie, a Afryka, ten tajemniczy Czarny Ląd leżał tak daleko! Dochodzić prawdy nie łatwo było. Według pojęć ówczesnych, zresztą nie tak dawnych, był to inny, straszny świat, niby rodzaj piekła na ziemi. Dobrowolnie szli tam ci tylko, którzy nic w domu nie mieli do stracenia. Opowiadaniom powracających podróżników nie wierzono, bo najbujniejsza wyobraźnia nie stwarza większych dziwów, niż te, które widzieli pierwsi biali na Czarnym Lądzie. Jak u wróżki, jak w krainie czarów, w Afryce sprawdzały się bajki, opowiadane dzieciom.

Podróżnicy mówili, że widzieli w Afryce złoto, leżące, jak piasek na powierzchni ziemi, a w głębi odwiecznych lasów, w których nie postała nigdy noga białego, wsie całe grodzone płotami z kości słoniowej. W tajemniczych krainach wnętrza spotykano plemiona łagodnych, dobrotliwych wielkoludów i złośliwych, czarnych karłów leśnych, niewidzialnych, a wszystko wiedzących, wszędy obecnych. Opowiadano o ludziach mieszkających w norach podziemnych i w jaskiniach, na drzewach i na wodzie, a nawet o ludziach z dziobami, zamiast ust, i z rogami na głowie. Baśniom takim trudno było wierzyć, a jednak baśnie te powtarzali powracający podróżnicy uporczywie.

Mówiono dalej, że na Czarnym Lądzie, obok ludożerców istniały jakoby szczepy całe, które użytku



,,Oryx Calotis" jedna z najpiękniejszych antylop afrykańskich.

mięsa nie znały zupełnie; obok myśliwych i wojowników, mieszkały spokojne plemiona rolników i pasterzy.

W podróżach swych przez słoneczną, gorącą Afrykę, obok gór niebotycznych, na których, mimo równika, leżał u szczytów wieczny śnieg, wędrowcy spotykali wielkie, martwe przestrzenie, pokryte piaskiem i głazami; pustynie, na których od gorąca i braku wody ostać się nie mógł nawet owad, nawet trawa. Z gór, szumiąc po zboczach, spływały w kaskadach kryształowe potoki i strumienie. Żar jednak i piasek wypijały wodę, a powietrze tam było jak w piecu rozpalonym; bo nad pustynią słońce na niebie stało wprost nad głowami i, sypiąc żywym ogniem, na popiół paliło wszystko, co żywe. Gdzieindziej znowu, wśród skał ze szczerej soli, drzemały w słońcu złowrogie jeziora, z których woda nie gasiła pragnienia; od jezior tych wiało śmiercią i nie mieszkała w nich ani ryba, ani gad.

Tam zato, gdzie była słodka woda, gdzie promienie słońca nie wypiły wszystkiej wilgoci, gdzie dosięgnął jej zbawczy, ożywczy wpływ—nad brzegami rzek i jezior, co jak morza zalały środek Afryki, czekał na podróżnika raj ziemski. Nieznane białemu krzewy i drzewa rosły tam okryte kwiatem i owocami o przedziwnym smaku. Z palm, co śmigłymi, wysmukłymi wierzchołkami zamiatały chmury, czarni, wspinając się po pniu, jak małpy, zrywali kapustę, słodkie daktyle i wielkie orzechy, zawierające mleko. Inne drzewa bez zachodu dawały gotowy ser, chleb, oliwę, a nawet wino. Nawet świeżej, czystej wody dostać można było z ljany, co jak wąż zwieszała się z drzewa. Jak w bajce!

Lasy, haszcze i niezmierzone równiny stepów pełne były wrącego, tętniącego życia. W ciernistych gąszczach wonnych, cienistych, brzęcząc leśne pszczoły zbierały miód, a wyżej, w koronach drzew, olśniewając zdumione oczy blaskiem swych barw, latały ptaki nie większe od muchy i olbrzymie, do żywych klejnotów podobne, motyle. W głuchych, niedostępnych tajniach dziewiczych lasów, w mrocznych ostępach puszcz afrykańskich, do których słońce nie zagląda, mieszkał tajemniczy ,,człowiek leśny" — straszny goryl, na widok którego w najodważniejszych zamierały serca. Czarni mówili, że samo spotkanie z nim oznaczało śmierć.

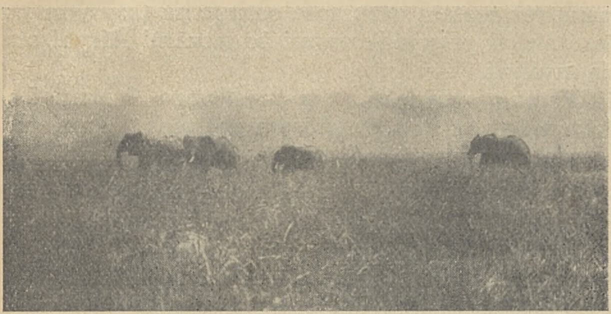
W haszczach i na zalanych słońcem rozległych stepach, jak daleko sięgało oko podróżnika, tysiącami, dziesiątkami tysięcy żerował zwierz: stada pręgowanych barwnie dzikich koni, gazel, antylop, strusi, potwornych, do przedpotopowych bestji podobnych nosorożców i czujnych, wysokich jak wieże żyraf, o których przedtem w Europie nie słyszano.

Za dnia już, nim zaszło słońce, do wodopojów setkami ciągnęły słonie, a na łąkach nad rzekami w nadbrzeżnych szuwarach, jak niezliczone stada czarnego bydła, pasły się setkami groźne bawoły afrykańskie, zwane przez krajowców ,,Bożem bydłem". Nocami, kiedy nastała ciemność, do podziemnego grzmotu podobny, krew ścinając w żyłach, straszył podróżników ryk lwa, powracającego z łowów.

W górach, w posępnym świecie lodowców i granitu, pośród uroczystej ciszy wiecznych śniegów, na turystę spływa powaga i groza. Od ziemi oderwany, człowiek patrzy w skupieniu na olbrzymie pomniki świata i odczuwa, że wobec sił, które tam tworzyły, wobec ich ogromu, on sam atomem jest tylko, a największe jego dzieła niczem więcej, jak drobną, przemijającą robotą mrówki.

Żywiej jeszcze i gorręcej, uczucia podobnej niemocy i znikomości doznaje biały człowiek wobec pierwotnej przyrody, wobec pierwotnego życia Afryki. Jak chowane w skarbcach świątyń stare kroniki, otwiera się tam przed nim odwieczna, ledwo dotykana ręką człowieka, księga dziejów ziemi, księga Stworzenia. Wskrzeszony jakby, wstaje przed nim świat innych okresów, innych tysiącleci, świat, który umarł

był, zanim świtać poczęły zarania historji człowieka. Jak w czasach, w których o panowanie nad ziemią walczyły żywioły, oczom wędrowca ukazują się dantejskie obrazy czarnych gór bazaltowych, zamilkłe, śpiące wulkany, w niezmiernej potędze cyklony, pożary całych prowincji i, w przepychu swym, w majestacie niedorównane, zachody słońca w pustyni.



Pod takiem niebem i na takiej ziemi, życie innem niż nasze, głębszem i szerszem popłynąć musiało korytem. W niezmiernym rozmachu swej potęgi, ufna w swe słońce, przyroda Afryki tworzyła, czerpiąc w nieprzebranem bogactwie sił swoich, bez miary. Parta przez dwa bóstwa, przez światło i przez ciepło, Ziemia Słońca budziła życia, nie troszcząc się dla nich ani o doskonałość, ani o harmonję, które kształcić i ustalać zamierzała później. W poczuciu swej wszechmocy, raz szukająca ogromu, to znowu dziwnie miękka, dziwnie subtelna w swych pomysłach, przyroda Czarnego Lądu była jak rozrzutnica: rozdawała istnienia hojnie, nie wymierzając. Od jej głębokiego, gorącego tchnienia życie budziło się bezładnie, gwałtownie i wstawały istoty niezrozumiałe, zdumiewające postacią, ogromem i siłą.

Niby pierwsze pomysły wielkiego rzeźbiarza poczęte w gorączce i ciosane z bryły, twory te przetrwały potop i, nieznane, strzeżone przez Sfinksa, ukryte w głębiach haszczy afrykańskich, do naszych przechowały się czasów.

W dziełach swych niepojęta, ta sama siła stworzyła istoty zadziwiające harmonją budowy, istoty doskonalsze niż ustroje, na które składać się musiały gdzieindziej setki pokoleń i wieki istnienia.

Obojętny, okrutny nawet dla jednych, dla innych, dla wybranych, dla gatunków całych, genjusz Afryki był jak rozmiłowany w dziele swem artysta. Szukając doskonałości, te same rodzaje istot stwarzał w odmianach coraz to innych, coraz to piękniejszych, a tak sobie blizkich, tak do siebie podobnych, że stwarzając nowe, zapominał rozmyślnie chyba o już istniejących.

I zaprawdę, nie hamował ani swych sił, ani twórczości! Jak gdyby probując swej potęgi, przyroda Czarnej Ziemi nie znała, nie chciała znać ani skali, ani granic. W pomysłach niedościgniona, tworzyła, by tworzyć, by dawać ujście życiu, którego w niej było zbyt wiele. Cuda rodziły się obok dziwów; arcydzieła—obok potworów.

Obok minjatury zwierzęcia, maleńkiej antylopy, mieszczącej się, jak cacko, na dłoni człowieka, wstał, jak żywa, szara góra, olbrzym słoń; obok nieznającej pragnienia mieszkanki pustyni wysokiej, wysmukłej jak wieża, żyrafy—przewala się w wodzie, jak żywy wał mięsa, koń rzeczny, hipopotam; obok strusia — koliber.

Gdzie spojrzeć, toż samo bogactwo postaci, te same sprzeczności w ubarwieniu, w charakterze, w obyczajach; ta sama rozmaitość, te same krańcowości w świecie ryb, gadów i roślin. Pośród mirjadów istnień, pośród tysięcy postaci, w jakie przyoblekło się życie na Czarnym Lądzie, podróżnik, myśliwy i przyrodnik spotyka wszystko, co podsunąć może wyobraźnia: rzeki, zalewające powodzią kraje całe, nad któremi w suchej porze roku umrzeć można z pragnienia; ptaki nieme i ptaki o śpiewie słodszym, niż głos fletu; kwiaty bez zapachu i kwiaty, które siłą wydzielanej woni zabijają.

W otchłaniach lasów Czarnego Lądu, pierwotnych, nieprzebytych, kryją się jeszcze zwierzęta, gatunki całe, nieznane prawie, o istnieniu których biały dowiaduje się wypadkiem tylko, albo z opowieści, przynoszonych przez krajowców.

Wszak żywego okapi, tego mieszkańca najdzikszych lasów Środkowego Kongo, nie oglądały dotąd na swobodzie oczy Europejczyka, a ledwie dwa lata temu, wyprawa, wysłana przez Hagenbeck'a do Afryki Zachodniej, przywiozła z Liberji pierwsze okazy leśnego, lądowego hipopotama-karła, nieznanego dawniej ani w Europie, ani w zoologji.

Wprost bajecznie wreszcie brzmi podanie o istnieniu tajemniczego zwierza, przechowującego się daleko gdzieś, na Czarnym Lądzie, w bezdennych, zie-



jących śmiercią i niedostępnych, nawet dla krajowców, moczarach wnętrza Afryki. Podanie to, niepozbawione zresztą cech prawdopodobieństwa, powtarzanem bywa uporczywie przez czarnych, zamieszkujących kraje na przeciwległych wybrzeżach Afryki, choć ci, rozdzieleni tysiącami mil, nie stykają się i nie porozumiewają nigdy. Według ich opisów ma to być,

jakoby potwór podobny z postaci do przedpotopowego jaszczura, kryjący się w nieprzebytych bagnach, porosłych trzciną, i żywiący się, jak kot, myszami — hipopotamami, które łowi i zabija. Czy w opowiadaniach tych kryje się prawda, czy to bajka tylko, zmyślona przez skorych zawsze do przesady i do kłamstwa czarnych? Podanie takie istnieje jednak i przywożonem bywa przez powracających podróżników stale. Prawda czy legenda, rzeczywistość czy wytwór wyobraźni, opowieść ta o przedpotopowym brontosaurze „smoku z baśni", maluje dobrze, czem są dla białego człowieka otchłanie ziemi Sfinksa dziś jeszcze. Wyjaśnić tajemnicę usiłowano już niejednokrotnie. lecz wobec strasznej febry, dziesiątkującej tragarzy,

Rządy tylko i osobistości, rozporządzające nieograniczonymi środkami i poparciem, sprostać mogą podobnemu zadaniu i liczyć na powodzenie. Rządy zaś i możni tego świata do wysyłania wypraw naukowych zbyt pohopnymi nie byli nigdy. Większość urządzana była przez jednostki, których energja i wytrwałość starczyć musiały za wszystko. Przez jednostki takie, przeważnie przypadkowo, dokonaną też została większość odkryć na Czarnym Lądzie. Takimi przypadkowymi badaczami Afryki stali się myśliwi.

Według opowieści, dla myśliwego Czarny Ląd był Doradem, rajem, w którym najwspanialszą, grubą zwierzynę spotykać można było codziennie, co



Przejście wyprawy przez rzekę Tana.

wysyłane ekspedycje zmuszone były cofać się, nie dotarłszy nawet do miejsc, w których szukać należało potwora z baśni.

Zagadek podobnych, drażniących nieznoszący tajemnic umysł białego człowieka, Czarny Ląd w łonie swem kryje dużo jeszcze. A zbadać je niełatwo, bo organizowanie wypraw, mogących prowadzić podobne poszukiwania we wnętrzach Afryki, i trudne jest, i bardzo kosztowne. Pominąwszy nawet niebezpieczeństwa i trudy wielomiesięcznej nieraz podróży przez kraje dzikie i częstokroć wrogie; nieoszczędzający białego niezdrowy, morderczy klimat i, co zatem idzie, niezbędną konieczność swobody rozporządzania osobą swą i czasem, zbieranie i ekwipowanie wielkiej ilości ludzi, z jakiej składać się muszą podobne ekspedycje, wprost przekracza możność przeciętnych podróżnych, myśliwych i przyrodników.

krok, setkami. Niezadługo też znaleźli się śmiałkowie, którzy zapragnęli być tam, żeby polować. Dostać się jednak do Ziemi Obiecanej, o której mówili podróżnicy, nie było łatwo, a trudniej jeszcze podróżować w niej i sprawiać łowy. Brak stałej komunikacji morskiej z Afryką, a potem, na miejscu, trudności w zbieraniu karawan, wrogie usposobienie krajowców, prawdopodobne zawsze wypadki i choroby, nadawały ówczesnym wyprawom myśliwskim charakter podróży awanturniczych, wysoce ryzykownych. Niebezpiecznymi również były dla pierwszych myśliwych i polowanie samo, i zwierz. Biały nie znał ani jego obyczajów, ani charakteru, nie wiedział, jak podchodzić go należy i tropić, a co najważniejsze, uzbrojony bywał w broń słabą i przygotowany do groźnego spotkania przeważnie niedostatecznie. Szedł zaś potykać się z najpotężniejszymi olbrzymami świa-

ta zwierzęcego. Pomimo to, odważnych, jadących do. Afryki w celach czysto myśliwskich, nie brakowało. Zdobywane trofea przewyższały najśmielsze oczekiwania, a zbiory, przywożone przez myśliwych, w zdumienie wprowadzały europejski świat naukowy. Dlatego to powracający myśliwi znajdowali coraz liczniejszych naśladowców i z roku na rok wzrastała liczba białych, pragnących polować w Afryce.

Nie należy zapominać, że pierwotnie łowy te, oprócz przygód i wrażeń czysto myśliwskich, dawały, niestety, i znaczne dochody. Strzelano przeważnie słonie, które zdobyczą były łatwą, a których stada liczyły się na tysiące. Z wycieczek swych myśliwi wracali na czele karawan, obładowanych kłami, dla których gruboskóre olbrzymy mordowane były setkami. Popyt na kość słoniową istniał, a łowy były tak zyskowne, że z czasem wytworzył się, znikający dziś już na szczęście, typ strzelca-zawodowca, strzelającego dla zysku i uważającego polowanie za sposób do życia. Zbytecznem będzie dodawać, że ,,myśliwi'' tacy oddawali się wyłącznie prawie polowaniu na zwierzynę, przedstawiającą wartość pieniężną, jak: słoń, hipopotam, nosorożec i, zważywszy wielkość i cenę skóry, żyrafa.

Później dopiero pojawił się więcej kulturalny i sympatyczniejszy nierównie myśliwy-sportsman i przyrodnik, wzbogacający muzea i szukający na Czarnym Lądzie przygód; myśliwy, pragnący poznać życie nieznanej mu przyrody i wyprobować nerwy swe w spotkaniu z groźnymi mieszkańcami haszczów afrykańskich.

Opisy wypraw tych, pierwszych, jakie przedsiębrano, w swoim rodzaju jedyne, należą do najciekawszych opowieści, jakie posiada łowiectwo. Niewątpliwie w opisach tych, datujących przeważnie z pierwszej połowy ubiegłego stulecia, spotkać można niejedną pomyłkę, przesadę, a nawet — niejedno kłamstwo. Niemniej, pomijając niesłychanie zajmującą stronę opisową, większość wiadomości, jakie posiadamy dziś w zoologji, o wymierającej już, niestety, faunie afrykańskiej, o jej bogactwie i o jej obyczajach, z tych właśnie głównie czerpano źródeł.

Prócz opisów i prócz trofeów czysto myśliwskich, łowcy, przeważnie Anglicy, przywozili z wypraw swych bogate zbiory etno-i zoologiczne, spostrzeżenia, tyczące krajów i zamieszkujących je plemion, a nawet karty geograficzne i pomiary okolic, przez które przechodzili. Dość często zresztą rząd angielski, pragnąc zamaskować wyprawy, wysyłane w celu zbadania danych krajów, nadawał im pozory wycieczek myśliwskich.

Czytając historję wypraw pierwszych myśliwych do Afryki i opisy niebezpieczeństw, z jakiemi walczyć tam musieli: le Vaillant, Baker, Cotton-Oswell, Gordon-Cumming, Newmann, Kirby i żyjący po dziś dzień nestor myśliwych afrykańskich, stary weteran, Selous, zaprawdę podziwiać trzeba żelazną wytrwałość, energję i odwagę tych ludzi, imiona których zaszczyt przynoszą myśliwstwu. Bez doświadczenia, przeważnie bez dostatecznych środków i, co za tem idzie, bez należytych przygotowań, bez innych towarzyszy, jak czarni tragarze, bez przewodników, których wroga ludność dostarczała niechętnie i, co najważniejsza, z bronią, jaką dziś oglądamy już tylko w muzeach, ludzie ci szli śmiało w głąb Czarnego Lądu i tam, w spotkaniu z groźnym zwierzem, zaglądali śmierci w oczy codziennie.

Pomimo wszystko, życie, jakie tam prowadzili, pełne przygód i wrażeń, wolne od trosk i od wszelkiego przymusu, urok przedstawiało niezmierny. Kto go skosztował, kto raz dotknął stopą zaklętej ziemi Sfinksa, ten pod czarem jej pozostawał na zawsze i, pociągany tam nieprzepartą siłą, na Czarny Ląd powracał, choć wiedział, że, wcześniej czy później, za czar ten zapłacić trzeba życiem. Kto raz był w Afry-



ce, kto mieszkał tam pod namiotem, kto pośród niezmierzonych haszczów afrykańskich panem był nieograniczonym swej woli, temu w przeludnionej Europie, pod dachem, duszno już było potem i ciasno. Tak urzeczonych ginęło wielu, bo na Czarnym Lądzie śmierć zawsze była blizko i, trop w trop, chodziła za białym myśliwym. Choroba, zatargi z krajowcami, zatrute źródła, bunt tragarzy albo zdrada przewodnika i straszna śmierć z pragnienia, a wreszcie, prawdopodobne zawsze niepowodzenie w spotkaniu z grubym zwierzem, zagrażały białemu codziennie. Karta odwracała się, myśliwy znikał bez wieści, nikt nie wiedział, gdzie i kiedy; tonął gdzieś w głębi Afryki, jak kamień rzucony do wody.

A jednak, mimo wszystko, naśladowców nie brakowało nigdy, bo namiętność, która ich parła, silniejszą była po wszystkie czasy, niż rozwaga. Ci, którzy z wypraw swych powracali żywi, częstokroć chorzy, znękani, ledwie przychodząc do zdrowia, już roili o nowych przygodach, już układali plan nowych podróży i wyczekiwali chwili, w której odzyskane siły pozwolą im wyruszyć znowu. Oczarowani

rzucali kraj, dom, rodzinę i bez wahania szli, aż pewnego razu — nie powracali więcej. Wtedy, niezawsze, przynoszone przez czarnych dochodziły wieści, że gdzieś, tam na Czarnym Lądzie, daleko, w górach, czy nad rzeką o nazwie dziwnie brzmiącej, do zapamiętania trudnej, myśliwy zginął zabłądziwszy, od febry, albo w spotkaniu ze lwem czy z bawołami. Jeśli był sam, ginęła po nim nawet pamięć; jeśli miał białego towarzysza, na grobie, chroniąc ciało od hyen, układano pagórek z kamieni i, na pamiątkę nożem myśliwskim wycinano krzyż na najbliższem drzewie. Tak kończyły się często przygody myśliwych afrykańskich, a mimo to, ulegając czarowi Afryki, po ojcach, którzy zginęli, szli tam synowie.



Tryumfalny taniec murzynów po zabiciu króla pustyni.

Dr. St. Zaborowski.

W ZIMOWY PORANEK.

Zbudziły mię jasne promienie zimowego słońca. Spojrzałem w okno i przez w pół zamarznięte szyby ujrzałem nieskazitelną biel ponowy. Grubą warstwą świeży pulchny śnieg zaległ ogród, w oddali na dachach zabudowań folwarcznych leżał jasnym pokrowcem, zginały się pod nim poważne, obwisłe gałęzie tuj i świerków.

Śpiesznie ubierałem się. Gdym, zarzuciwszy półkożuszek, wybiegł przed dom, ogarnęło mię mroźne, świeże powietrze zimowego poranku.

Czasem oberwała się duża płachta śniegu z gałęzi i padała lekko w pulchny śnieg...

Gdzieś z oddali, od folwarku, doleciał świergot wróbli, skrzypnął żóraw u studni, parsknął pojony koń, ktoś zakrzyknął na psa i znów cicho.... Skrzypnęła furtka i od podwórza szedł ku mnie wysoki, nieco zgarbiony człowiek. Przez prosty kożuch przewieszona stara pojedynka miarowo chwiała się na nim w takt jego posuwistych miękkich kroków. Z pod baraniej czapy wyjrzały siwe wąsy, ogromne i obwisłe, a nad nimi czarne, żywe i chytre oczy.

Skłonił się i przez chwilę czekał.

— Pójdziemy, paniczu?

— A czy warto?—drażniłem się, przypominając mu oczyma dzień wczorajszy, któryśmy bez żadnych widomych rezultatów w polu spędzili.

— Śnieg padał do północka, potem ustał... mróz nie wielki... zając chodził... teraz ku odwilży patrzy... każdego na ponowie znajdziemy. Dotrzyma nam mocno zając, że choć czapką nakryć! — Mówił powoli, słowo każde ważąc.

Za krótką chwilę, połknąwszy szybko śniadanie, ruszyliśmy. Minąwszy ogród, czas jakiś szliśmy wzdłuż sztachet... Przed nami leżał biały, śnieżny całun lekko pofalowanych pól, na których tu i owdzie ostro w słonecznym blasku, pono na miedzach stojące, rysowały się polne grusze. Widać było od gościńca wiodącą topolową drogę, dalej czerniał las.

Weszliśmy w ostowiska za ogrodem. Pod kępami ostu tu i owdzie widać było opadłe z nich warstwy śniegu, a na nich zrzadka rozrzucone resztki nasion.

— I szczygły już jadły śniadanie, mruknął Sabal.

Za chwilę skręcił nieco w lewo i stanął. Od ogrodu ku polom znaczył się wyraźny świeży trop zająca.

— Dopieka im zima, w ogrody lezą, uśmiechnął się pobłażliwie i ruszył tropem. Zając szedł wolno od ogrodu ku polom. Ślady przednich łap leżały tuż koło tylnych, tylne zaś znaczyły się w jednej linji. Przez jakiś czas szedł zając prosto ku polom, dobrawszy się potem do wzgórka, przystanął na chwilę, jak to było widać po śladach, w jednem miejscu kilkakrotnie odciśniętych, stawał słupka, potem wziął się na prawo i równie powoli szedł dalej. Nie śpieszyło mu się widać, przystawał bowiem kilkakrotnie, zmieniał kierunek. Po głębokim śniegu szliśmy już za nim z pół godziny. Parę razy napotkaliśmy tropy innych zajęcy, z którymi ślady naszego krzyżowały się i wikłały. Sabal na tamte nie zważał, szedł za pierwszym. Raz przeciął nam drogę równy, jak pod sznur wyciągnięty trop lisa. Mimowoli żywiej uderzyło serce.

Po niejakim czasie trop nasz zmienił się nieco. Zając poszedł szybciej: odległości pomiędzy poszczególnymi odciskami czterech skoków stały się większe, prawy tylny skok znaczył się jednocześnie trochę przed lewym tylnym. Zając tęgimi skokami przeszedł tak ze trzysta metrów.

Nagle Sabal, który szedł pierwszy, zwolniwszy nieco, dał mi znak, bym się przygotował do strzału. Wysunąłem się naprzód. Zając zaczął tu kluczyć. Dał kilka tęgich skoków, potem pod ostrym kątem skręcił w lewo, znów parę razy skoczył, zawrócił się, by potem znów to samo kilkakrotnie powtórzyć. Tu kończył się trop, a wyglądał tak, jakby kilka zajęcy przeszło w różnych kierunkach.

Wiedziałem, że zając nakluczywszy, dał gdzieś tęgiego susa w bok, i że musi siedzieć tuż, o kilka łokci

od śladów. Lada chwila można się było spodziewać, że ruszy... Wtem Sabal, który pozostał nieco w tyle, zaklął siarczyście. Obejrzałem się. Stał o kilka kroków od tropu nachylony widocznie nad kotliną. Podszedłem doń. Od kotliny ciągnął się wyraźny prosty ślad zająca. Widać, nagle z kotliny ruszony, rwał w wielkim strachu, bo jedne ślady od drugich, markując potężne susy, były niemal na dwa metry od siebie odległe. Koło kotliny leżało trochę turzycy i widać było ślad, jakby ktoś długą giętką rózgą po śniegu uderzył.

Widocznie ktoś strzelił do zająca w kotlinie i ranił go nawet, jak na to wskazywała turzyca, zając jednak uszedł. Ale kto strzelił i skąd?

Spojrzałem wkoło. O jakieś czterdzieści kroków w prawo ciągnęły się ślady sanek...

Sabal podszedł do nich i przez chwilę uważnie patrzył.

— Znów Walek!

Walek był to znany kłusownik ze wsi sąsiedniej.

— Dlaczego Walek? — pytałem—zaciekawiony przenikliwością starego strzelca.

— Ale, toć jego sanki: lewa płoza szersza, a i koń jego siwy nogi k'sobie stawia. Za kuropatwami jeździ... Tu Sabal dodał mocno niepochlebny i trudny do powtórzenia epitet.—A oczy ma jak ryś, skąd go to psia dusza w kotlinie upatrzył?—

Wróciliśmy do kotliny. Jadąc polami i upatrując na śniegu kuropatw, Walek dojrzał widać kota, strzelił, lecz zranił go tylko.

Sabal schylił się, podniósł trochę turzycy, obejrzał ją uważnie i w milczeniu mi podał.

Sierść była krótka, ucięta widocznie śróciną przez pół.

— Ten zając dobrze jednak dostał — rzekłem — daleko nie pójdzie!...

— Będzie on jeszcze nasz!—

Ruszyliśmy za śladem. Nagle na lewo od strony lasu doszło nas silne krakanie wron.

Sabal popatrzył, rzucił trop, który na pozór gdzieindziej prowadził i szybkim krokiem szedł ku kraczącym wronom.

— A naszego kota — rzucił — to już jastrząb je.

Zbliżaliśmy się ku wronom. Ich dziwne zachowanie byłoby zwróciło uwagę każdego, ale nie każdyby zapewne wyczytał z niego epilog ostatniego, dla naszego zająca poranku.

Pod samym lasem, krakając przeraźliwie, krążyły w powietrzu wrony. Kilkadziesiąt tych ptaków wznosiło się co chwila ku górze i po kolei opadało ku ziemi. Każda wrona, zatoczywszy w powietrzu koło, rzucała się niemal prostopadle ku ziemi i nie doleciawszy ku niej, na wysokości kilku łokci, podrywała się znów ku górze.

Przeszedłszy kilkaset kroków, Sabal zatrzymał się.

— Niech panicz tu stoi, ja obejdę hen, od lasu. Jak dojdę tam do tego dębu, co Pańskiego roku pan lisa chybił, niech panicz idzie naprzód. A może panicz pójdzie od lasu—dodał po chwili—bo już pewno on do drzew będzie przed wronami uciekał.—Spojrzał na mnie niespokojnie, bo chytry był na strzał do jastrzębia. Wolałem zostać. Sabal odszedł tym płynnym krokiem człowieka, który od dzieciństwa zwykł był piechotą duże przestrzenie przebywać. Ten chód dziwnie mi zawsze przypominał chód wilka.

Skręcił na lewo i, pozostawiając jastrzębia z wronami na boku, szedł ku lasowi, zniknął w nim, a za chwilę wynurzył się koło dębu.

Wtenczas ruszyłem i ja. Wrony biły coraz natarczywiej, lecz jeszcze prócz nich nic widać nie było. Zbliżyłem się na 500... 400 kroków, potem jeszcze bliżej. Teraz już ujrzałem jastrzębia. Siedział na zającu i co chwila pochylał się nad nim, silnymi uderzeniami dzioba odrywając widać kawałki mięsa. Lecz wrony silnie mu przeszkadzały. Co chwila spadała któraś od góry, zdawało się, że z odwagą natrze, lecz gdy była tuż, tuż, on tylko unosił głowę nieco ku górze i przechylając ją na bok, groził na pół rozchylonym dziobem. I wrona, jakby ją ktoś poderwał, spływała na skrzydłach ku górze.

Miałem nadzieję, że uda mi się jastrzębia, zajętego zającem i wronami, podejść na strzał. Pochyliłem się i przypadłszy do ziemi szybko biegłem. Oto już tylko 200 kroków, już tylko 150... Żeby choć jeszcze z pięćdziesiąt, Ś-ty Hubercie, żeby choć jaki krzaczek, za którymby się skryć można...

Nagle jedna wrona oddzieliła się od pozostałych i przeleciała nademną z krakaniem, za nią poszło kilka innych. Jastrząb, który mimo wszystko musiał mię już dawno widzieć, tylko od łupu było mu niesporo... nagle porwał się i poleciał ku lasowi. Wrony pognały za nim z wrzaskiem. Nizkim, leniwym lotem leciał rabuś, a nad nim wichrzyły się i wirowały kracząc, wrony.

Powstałem i patrzałem, co będzie. Sabal dobrze stanął. Drapieżnik kierował się wprost na wspomniany dąb, zdawało mi się, że już oto mknie między konarami drzew, gdy nagle od dołu wykwitła długa smuga dymu, a jastrząb, złożywszy skrzydła, runął na ziemię. Wrony przestraszone wzniosły się wyżej, nie przestając kraczeć.

Teraz zwróciłem się do biednego zająca. Nie czekając na starego strzelca, zrobiłem wkoło krąg, by dostać się na tropy i wyczytać z nich ostatnią walkę. Trafiwszy na trop, szedłem z nim przez chwilę, nic nie zauważywszy szczególnego. Zając widać mocno raniony szedł wolno, przystając, miejscami krwawił. Nagle zaczął iść szybciej. Tu widać po raz pierwszy zobaczył atakującego go jastrzębia. Po chwili ten go dopadł, widać było ślady walki. Zając przewrócony na grzbiet, bronił się łapami, jastrząb atakował go od góry: obok leżało prócz krwi, która wypłynęła z rany zadanej Walkowym postrzałem, trochę turzycy i kilka piór jastrzębia. Musiał go zając łapą uderzyć. Potem zerwał się i ostatnim wysiłkiem rwał ku

lasowi. Ale i jastrząb, widząc, że zając jest ranny i słaby, atakował coraz odważniej i natarczywiej... Oto znów ślady walki... znów kilka wytężonych susów naprzód. Oto miejsce, gdzie zając przedostatni raz, przewróciwszy się walczył o... spokojną śmierć w lesie. Znów dwa, trzy przedśmiertelne skoki. Tu go wreszcie dopadł i siadłszy na grzbiecie, potężnymi uderzeniami dziobu walił po czaszce. Biedny zając ciągnął się jeszcze kilka kroków ze swym strasznym jeźdzcem, aż wreszcie padł...

Witold Lubicz.

RATOWNICTWO

OPOWIADANIE HARCERKI.

W pierwszym roku mego harcowania, a było to dość dawno, bo latem 1912 r., słuchałam odczytów o ratownictwie, które wywarły na mnie wpływ ogromny. Pomijając korzyści natury czysto umysłowej i praktycznej, które mi później pozwoliły pomagać cierpiącym ludziskom, odniosłam ogromną korzyść moralną. Do tego czasu bowiem, będąc harcerką od kilku zaledwie miesięcy, zdawałam sobie może sprawę z obowiązków moich, jako harcerki, lecz obracałam się ciągle w sferze ogólników, których nie mogłam objąć myślą i w czyn wprowadzić.

Wiedziałam, że mam być dobrą, pogodną, pożyteczną, ofiarną i oszczędną równocześnie, że mam wreszcie sumiennie spełniać swe obowiązki. I tutaj myśl moja zatrzymywała się. Pytanie, jakie właściwie są te moje obowiązki, nie dawało mi spokoju. Chwilami zdawało mi się, że już wiem, i w myśli poczęłam wyliczać: muszę być słowną, karną, posłuszną, kochać kraj, przyrodę, wszystkie harcerki i ludzi. Uspakajałam się wtedy, lecz nie na długo. Nowe pytanie: cóż z tego, że kocham ojczyznę, ale co mam dla niej czynić? kocham harcerki, więc nic złego nie zrobię, ale i też nic dobrego nie mogę, bo cóż? Każda daje sobie radę i mej pomocy nie potrzebuje. Żadna ,,obca'' (z innego kraju lub miasta) harcerka nie przyjeżdżała, bym jej mogła pokazać miasto, pomóc załatwiać interesy, lub narazić swoje życie i zdrowie dla niej.

A gdy pomyślałam o wszystkich ludziach, o ,,moich bliźnich'', którym mam nieść pomoc, zdawało mi się, że ja im nigdy nic dobrego uczynić nie potrafię.

Bo nie wiedziałam, jak to czynić i, co najważniejsza, co?

Te wszystkie dobre uczynki, o których mówiła nam zastępowa, zdawały mi się czemś tak małem bardzo, że nie warto nawet o nich wspominać, wobec ,,wielkich'' czynów i obowiązków naszych. Cóż z tego, że pomogę komuś dźwignąć ciężar, usunąć kamień z drogi lub naleję herbatę ojcu; to mogę przecież zrobić, lecz są to tylko drobnostki, a nie moje ,,czyny''.

I tak się mordowała ta moja głowina, pełna myśli o wielkich i bohaterskich czynach, myśli, które mi spać nie pozwalały. Po paru tygodniach doszłam do smutnego bardzo przekonania, że harcerką można być tylko na zbiórce, bo wtenczas robię tylko wszystko ,,tak, jak trzeba''. Byłam też na zbiórkach idealną: najprzykrzejsze rozkazy wykonywałam z uśmiechem, wszystkie polecenia spełniałam z gorliwością poświęcenia pełną.

Tymczasem zaraz po pierwszym odczycie z ratownictwa, poprzedzonym omówieniem tego, co znaczy nieść pomoc bliźnim w imię miłości, zrozumiałam, że to wcale nie o wielkie czyny chodzi; przeciwnie, owinąć komuś palec, wyjąć drzazgę lub umyć brudne dziecko, to też nie jest nic wielkiego, a jednak jest naprawdę tem dobrem, wyrządzonem komuś, o które mi tak chodziło. I uczułam wstyd, że sama o tem nie wiedziałam, że myślałam Bóg wie o czem, zapominając o najbliższych swych obowiązkach. Wstydziłam się siebie sama i czułam rumieniec na twarzy, gdy stanął mi przed oczyma obrazek z przed kilku miesięcy. Przechodząc drogą, zobaczyłam maleńkiego dzieciaka, który się przewrócił i nie mógł wstać. Pierwszą mą myślą było podnieść go; lecz zaraz coś mi szepnęło: żeby to koń rozhukany pędził i miał potratować to dziecię, tobym se natychmiast z pod kopyt końskich wyrwała lub konia usiłowała w pędzie zatrzymać. A zaraz potem nowy szept: a coby ludzie wtenczas mówili? I słodkie uczucie zadowolenia, z niby słusznych pochlebstw mię ogarnęło. Tymczasem dzieciak wygramolił się i powędrował dalej do domu.

Nie! już dosyć mam tego, dzisiaj muszę dojść do ładu z sobą — pomyślałam. I nim usnęłam tego wieczoru, postanowiłam być naprawdę odtąd harcerką wszędzie i zawsze. Takiemi mi się jasnemi wydały słowa zastępowej, gdy mówiła o pełnieniu drobnych obowiązków codziennych; zrozumiałam również zdanie, które mówi, że na życie całe składają się wszystkie nasze najdrobniejsze czynności.

Odczytów odtąd słuchałam bardzo uważnie. Marzyłam o tem, by jaknajprędzej wiedzieć o wszystkich zabiegach ratowniczych. Równocześnie z tem marzeniem powstało drugie: chęć stworzenia apteczki. Dużo miałam kłopotu z urzeczywistnieniem tego ostatniego. Przedewszystkim chodziło mi o to, by stwożyć własnemi siłami; więc też nim zebrałam jednakowe buteleczki, musiałam się dobrze naszukać po całym domu, ale to głupstwo. Te buteleczki trzeba było przecież napełnić, a na to musiałam zdobyć ,,floty''. Wszystkie grosze, które dostawałam od starszych, chowałam skrzętnie, wcześniej też wychodziłam z domu, by nie płacić tramwajów i dwa razy wyrzekłam się pójścia do teatru z rodzicami, prosząc o pieniądze, nie chcąc jednak wyjawić tajemnicy, z jakiego powodu to robię. Wyobraźcie sobie mą radość, gdy opakowana paczkami wracałam z apteki. Kiedy przyszłam do domu, wykryła się moja tajemnica i widzia-

łam, jak bardzo rodzice byli ze mnie zadowoleni, a ojciec obiecał mi szafkę na tę moją ,,apteczkę".

Po paru dniach z ogromną radością do niej otwierałam. Na górnej półce ułożyłam środki opatrunkowe i narzędzia bandaże (różnych szerokości), kilka rogówek, gazę sterylizowaną, watę, ceratkę, nożyczki, pincetkę (do nakładania opatrunków); na środkowej zaś buteleczki z lekarstwami i środkami opatrunkowymi: Jod-benzynę (do mycia rąk i okolicy rany) benzynę czystą (do rany), jodynę, sublimat (roztwór 2%), eter siarczany i amoniak (środki trzeźwiące), krople walerjanowe i miętowe, wodę Burowa (do okładania) i wodę wapienną z olejem lnianym (na oparzenie); na dolnej półeczce ustawione były pudełeczka z maściami i proszkami: waselina, maść kseroformowa, maść na odziębienie, kseroform (proszek do zasypywania), kwas borny, sublimat w pastylkach.

Nie długo czekałam na pierwszego pacjenta; był nim chłopak, który siekierą rozranił sobie nogę. Drżałam z emocji. Pierwszy raz samodzielnie miałam nałożyć opatrunek. Umyłam starannie ręce w wodzie ciepłej z mydłem i opłókawszy je w roztworze sublimatu, wzięłam się do roboty. Umoczywszy watę w jod-benzynie ostrożnie umyłam okolicę rany. Kilka razy zmieniałam watę, zanim ranę dostatecznie obmyłam i wysuszyłam watą, maczaną w ciepłej sterylizowanej benzynie. W końcu nałożyłam pincetką tamponik gazy, czyli kawałek zmiętej gazy, by zyskać większą powierzchnię styczną z raną i ułatwić wsiąkanie. Na to położyłam watę i mocno obandażowałam. Kilka dni jeszcze przychodził chłopiec do opatrunków. Gdy mu rana zaczęła się goić, zasypywałam ją kseroformem i zakładałam opatrunek, jak przedtem. Później miałam jeszcze bardzo dużo pacjentek i pacjentów, a jeszcze więcej przygód.

Opowiem Wam o tem, ale potem.

Zocha.

Wielka wycieczka.

Była to pierwsza większa wycieczka harcerska w naszej drużynie! Jakżeż dziewczyny były przejęte ważnością chwili! Z rzeczy, które kazałam zabrać, żadna nie zapomniała niczego; środki opatrunkowe i przybory do szycia upakowane były tak pięknie, jakgdybyśmy wyruszały conajmniej na miesięczną wędrówkę.

Dwugodzinna podróż minęła bez wrażeń dla nas, ale zato dostarczyła ich wiele pasażerom kolejki, drżących z obawy o swoje głowy, nad któremi wahały się majestatycznie kubki i menażki, oraz podskakiwały niepokojąco na półkach wypchane plecaki.

Stanęłyśmy u celu podróży w Różance o 5-ej. Uprzejmi gospodarze wskazują nam pokoje, gdzie mamy spać. Miny się wyciągają, bo mamy cztery pokoje i dostateczną ilość łóżek. Psuje to zupełnie styl. Powinna być najwyżej słoma, powinny być powybijane okna i niezamykające się drzwi, a tak, coż to za wycieczka bez przygód. Ale niema czasu na długie krzywienie się. Wyznaczam oboźną i razem z nią postanawiamy, gdzie która ma spać. ,,Plecaki wszystkie mają być tymczasem złożone pod ścianą, kartofle i kaszę oddać gospodyni, wyjąć menażki, kubki, łyżki i cukier." Wszystkie te rozkazy zostają wykonane z błyskawiczną szybkością.

Na stół wyjeżdża olbrzymi dzbanek mleka. To także psuje styl, ale żadna się nie krzywi. Po posiłku badamy mapę i zostawiam dwie godziny czasu wolnego na poznanie okolicy. Wycieczka przeznaczona na odpoczynek, więc chcę, żeby dziewczęta poznały las i pole nietylko z terenoznawczo-pionierskiego punktu widzenia. To też czas schodzi na dzieleniu się wzajemnem wiadomościami przyrodniczemi i krajoznawczemi.

W sielsko-anielskim nastroju zabieramy się do kolacji. Dostajemy tyle do jedzenia, że pełne zachwytu: ,,Oooo!" na widok pierwszej przyniesionej potrawy, przechodzi stopniowo w wykrzyknik, wyrażający poważną wątpliwość, czy zdołamy to wszystko zjeść. Zaczynamy jednak odważnie.

Nagle rozlega się odgłos bębna; wszystkie zamieniamy się w słuch i wzrok. Za płotem między drzewami i budynkami migają szare i zielone mundury. Chłopcy zdaje się, że nie widzą nas, ale w każdym razie czujemy się mniej pewnie. Po kolacji idziemy badać ślady. Kolumna czwórkowa, mając przy sobie trzech rowerzystów, szła ,,wołowym traktem" do ,,Hiszpanji". Wracamy po takiem odkryciu do domu. Zostało trochę czasu, więc w myśl powiedzenia, że, jak tylko zejdą się dwie z naszej drużyny, to zaraz śpiewają na 3 głosy, urządziłyśmy koncert, który podobał się nadzwyczajnie, a zwłaszcza wspaniały hymn japoński ,,Umfa", powtarzany dwukrotnie na ogólne żądanie trzech osób.

Jest już godzina dziesiąta, panuje nastrój niezwykle podniecony, jak zawsze na pierwszej wycieczce z ,,przygodami". Po odśpiewaniu ,,Roty" pod krzyżem, kładziemy się spać, zostawiwszy wartę przed domem. Ale niema mowy o spaniu. Słyszało się tyle sygnałów i widziało tyle świateł, jakby cały Z. H. P. nie miał tej nocy nic lepszego do roboty, tylko z gwizdkami i latarkami przechadzał się wkoło naszego domu. Z sąsiedniego pokoju dolatuje mnie rozmowa:

— Słyszysz!... Chodzi! — Chooodzi?! — Ooooo! Napewno chodzi!.

Moja zastępczyni probuje je uspokoić:

— Która jeszcze raz powie ,,chodzi", pójdzie jutro do karnego raportu!

Chwile ciszy. Nagle daje się słyszeć przeciągły, pełen zgrozy szept:

— Łaaazi!!

Jakoż nagle rozlega się głos warty pełen przerażenia:

— Stój! kto idzie, hasło! — Wstrzymujemy oddech, czekając, co będzie dalej.

— Stój! kto idzie, hasło! — Słyszymy znowu krzyk warty tak rozpaczliwy, że nawet ja zaczynam przypuszczać, że istotnie grozi jej jakieś niebezpieczeństwo, a zaraz potem przeraźliwy gwizd na alarm. W odpowiedzi na to w całym domu rozlega się ogłuszający gwizd. Okazało się później, że na wszelki wypadek wszystkie trzymały gwizdki w zębach. Komendantka wart wybiega na werandę i nic nie widząc, ani nie pytając warty, daje również sygnał alarmu. Krzyczę więc: „zbiórka!" i z prawym butem na lewej nodze, a z drugim w ręku, bo długo nie mogłam go znaleźć, wybiegłam przed dom. Za mną zastęp. Tymczasem okazuje się, że nic nie ma. Warta, usłyszawszy szelest pytała, kto idzie, a nie otrzymawszy odpowiedzi, zaczęła gwizdać tak, że mogła pobudzić ludzi w promieniu trzech wiorst. Każę tedy dziewczynom iść spać, a sama postanawiam dla większego spokoju i bezpieczeństwa, nie stawiać warty. Przekonywam się, że obożna jest tego samego zdania, gdyż widzę tylko, że na progu werandy stawia dużą pustą butelkę, a pod drzwiami dwa krzesła jedno na drugiem, w ten sposób, że ktoby chciał wejść, musiałby obie przeszkody przewrócić.

Reszta nocy minęła zupełnie spokojnie. Raz tylko, gdy północ wybiła, jednej z nas wydało się, że okiennica zaczęła się sama poruszać. Wstała tedy i postanowiła życie oddać w obronie nas wszystkich, ale, ponieważ nic się nie zjawiło, poszła spać.

Co robiłyśmy dnia następnego, jak nam się wiodło na własnym wikcie w obozie, opowiem kiedyindziej, gdyż są to rzeczy zbyt ważne, aby można je zbyć w kilku słowach. *Zastępowa.*

Z PODLASIA.

U SWOICH.

Szliśmy szeroką, piaszczystą drogą. Co i raz odchylamy czapki, by pozdrowić częste krzyże podlaskie, które długiem ramieniem, jak gdyby błogosławią okolicy.

Wywalczone błogosławieństwo. I patrząc na owych Chrystusów starych, zwieszających mizernie głowę na piersi, myślisz: „Czem jest los dziejów, czem odwieczny, wrogi spór?" — Tchnieniem, jednem tchnieniem, wiejącem z polnych rozłogów; jedną myślą chłopa, który tu powiedział sobie: „nie dam się..." Opodal przy drodze widnieje biały czteroramienny krzyż z jakimś napisem słowiańskim: Chrystus taki sam, w inną jeno koronę przybrany... Idziemy dalej przez szlacheckie posiadłości, droga biegnie wśród wzgórz, gdzieniegdzie żywopłoty okalają sady.

Dokoła nich pną się po pagórach złote zboża, co różnorodnością i żywością barw przypominają hafty rozwieszone. Czasem zaszumi wiatr, kornie schyli łanom czoła, niby król, i mocny wybieży hen na górę. Zapach polnego kwiecia i gorące całusy słońca upajają naturę, że zda się znieruchomioną, marzy o swojem szczęściu. Niezadługo stanęliśmy w miejscu, dominującem nad okolicą u końca wzgórz. Tu oko obejmuje większy obszar: prawie, że na horyzoncie siny wije się Bug, odbijający w sobie słońcem mury stare stołecznego Drohiczyna, a tuż przed nami, jak gdyby umyślnie, chowa się wśród wzgórz wieś Mogielnica... Byliśmy zdrożeni, radzi więc odpoczęliśmy we wsi. Ludzie dobrzy; oprócz wydziwiań i pytań częstowali nas szczerze. Zrzuciwszy plecaki z druhem O. J. i zasiadłszy ławę, ucztowaliśmy, wchłaniając olbrzymie miski zimnego mleka, zakąsając masłem i chlebem... „Że też panowie nie chodzą ubrani po polsku! wszak to nie polskie ubiory", zagaduje stary szlachcic o cerze żółtej, jak wosk: „gołe kolana, to nie wygodnie! Muchy je zjedzą", mówił z ironją dalej. Z początku spoglądano ku nam z ciekawością i zdziwieniem. Dowiedziawszy się, że jesteśmy z Warszawy, przyjmowano nas, jako ludzi stołecznych, z powagą... Po jedzeniu — do czynu. Zawiązujemy rozmowę: sprawę ubrań niepolskich odrzucamy na plan drugi, wysuwamy zaś sprawę naszych serc, chcąc je zbliżyć ku sobie... Jakoż powoli otwieramy je: szlachta uwydatnia nam swoją uczoność, przypominając o wielkich postaciach narodu naszego: „Czyż brakowało nam kiedy ludzi mądrych? nie to nieszczęściem", mówi podeszła wiekiem „pani domu" i czemprędzej wylicza: „Skarga, Mickiewicz, Słowacki, a... chociażby i Sienkiewicz..."

— A cóż książę Lubomirski? — pyta później: — „czytałam w gazetach, że magnaci pono bardzo wspomagają biedny lud w Warszawie...? Książę pewnie z tej samej rodziny, co to w Potopie?" i tu opowiada znane myśli litewskiego hetmana... Wreszcie skarży się na swe domowe przejścia: sąsiad, jakiś, szlachcic, zasłonił jej nowowystawionym domem widok z okien świetlicy na srebrny Bug... Wypowiedziała się „pani domu" wędrownym, więc rada... I siedząc w chacie wiejskiej zapominasz na chwilę o sobie, bo silne obrazy snują się w myślach i ulatujesz duchem z przeszłością złączonym... Te dworki podlaskie, owite winem, i te, jakby przedsejmikowe poglądy. Pobudka gra! Rozległ się głos alarmowej trąbki, przerywasz więc tok myśli luźnych i rozmów, żegnasz staropolskie progi z ich przeszłością, gościnnością i prostotą. Hasło zbiórki! Po odpoczynku, odprowadzani, idziemy dalej, dzieląc się wrażeniami.

U OGNISKA.

„Będziem się uczyć dziejów za polską stodołą"

Zmierzcha się. W obozie znaczniejszy ruch. Każdy kończy co żywo swe prace, kłopoty, by wieczór spędzić na wspólnych śpiewach przy jałowcowem

ognisku. Dyżurni znoszą z pobliskiego zagajnika czerwone, zeschłe gałęzie i układają na stos... Wszyscy jacyś weseli, dowcipni, znacząco uśmiechający się, rzekłbyś, nastrój w obozie odświętny. W miarę przyjścia wieczoru ruch i gwar scichał... Chwila... a ogień unosi się dużym płomieniem i oświetla skupione, leżące postaci. Wesołe zazwyczaj drwinki i wzajemne zwierzania się ożywiają tę towarzyską gromadę. Naprzemian śpiewy i rozmowy. Sumując uczynki i poczynki dzienne, wypowiadają się zwykle tu uwagi co do postępowania i życia wspólnego, koleżeńskiego... Co kto ma przeciwko komu—niech tu wypowiada swe myśli otwarcie... Przy ognisku także (niekiedy) krytykujemy rozporządzenia dzienne szarż... Przy ognisku spala się i krystalizuje wszelka nasza wspólna, społeczna myśl. Czasem nawiedzi nas uproszony powstaniec siwy. Wówczas twarze wszystkich młode, uważnie zwracają się ku jednej zmarszczonej twarzy: i postać czarna, zgrzybiała opowiada o czynach, o męskich, dumnych sercach i, jako doświadczona, przybywa do nas, by z żywych faktów historycznych uczyć dziejów.

Więc wtenczas raźniej rozlewa się pieśń nasza wieczorna, zgodna, bo płynąca z dwu potężnych dusz.

NA CZATACH.

Obóz we śnie pogrążony. Na gwoździu obok drzwi świecący zegarek wskazuje godzinę nocną. Mam trzecią wartę. Obowiązkiem wartownika jest czuwać nad „szopą” i śpiącymi.

Lecz w życiu szarem, codziennem, trzyma się wartę raczej dla wprawy, niż z potrzeby, dla oswojenia się z gwarą nocną natury. Sprawować więc wartę mogłyby tak samo modlące się żaby w pobliskiej „gnojówce”, jak i gwiżdżące na wszystko kuliki.

Nie mając konkretnego zajęcia, najczęściej człowiek zamyśla się i patrzy omackiem na ciemną, tajemniczą naturę.

Miejscowość niska, bagnista. Nocą mgły i opary suną zwolna i kładą się leniwie u podnóża drzew i na trawach. Niekiedy załopoce coś w krzach i młodym zagajniku: słychać szczek kozłów dzikich i lękliwy tupot saren... Czasem puszczyk, nocy wielbiciel, zaśmieje się nagle z drzewa.

Dreszcz cię mimowoli przebiegnie, a gdy przeminie, uśmiechniesz się nad swą wrażliwością. Puszczyk tymczasem oddala się i woła płaczliwym dziecinnym głosem.

Godzina mija! Budzisz następną czujkę... Za chwilę usypiasz przytulnie w rytm żabich jednostajnych pacierzy i gwizdu kulików.

Jan Ogończyk.

O zastępach i zastępowych.

Zastęp składa się z 8—10 członków. Tworzy się on z chłopców, którzy u progu swego życia szukają drogi, na której mogliby być użyteczni swej Ojczyźnie. Uświadamiają sobie, że najmniejsza jednostka organizacyjna, zastęp, jako ogniwo drobne, z którego wiąże się drużyna i cały Związek Harcerstwa jest właśnie środowiskiem, w którem mają wychowywać się na przyszłych obywateli kraju. Zastęp wybiera sobie zastępowego, zwykle, choć niekoniecznie najstarszego z pośród siebie. Jeżeli każdy członek zastępu ma się uczyć, słuchać i pracować, jeżeli ma to uczynkiem najdrobniejszym i codziennym stwierdzić, jeżeli każdego członka zastępu powinna cechować prawość, jasna i świeża myśl, prostota uczuć, to cóż dopiero mówić o zastępowym!

Zastępowy pamięta, że on wzorem będzie dla zastępu, że on pobudzić ma zastęp do pracy nad sobą, że ma wytyczne na tej drodze wskazać najmłodszym kandydatom na harcerzy.

Wybrany przez chłopców nadaje kierunek pracy w zastępie, musi więc mieć plan zajęć, a ten plan obmyśla wraz z drużynowym. Wtedy jedynie praca będzie planowa i pożyteczna.

Ale dla wykonania planowej roboty trzeba właściwe już zalety posiadać na zastępowego. Według stawu grobla! Chłopiec, kiedy jest harcerzem—nie tylko na zbiórkach, na wycieczce, ale i wszędzie i w domu, w szkole, na ulicy, w kościele. Zawżdy myśli o swym ideale harcerza, zawżdy myśli, jakim winien być! Zna więc chłopiec prawo harcerskie i czuje obowiązki, których spełnienie podnosi jego wartość, tworzy z niego harcerza.

Ale i tu rola zastępowego jest przodująca. On w każdym poszczególnym wypadku, w każdej najbłahszej okoliczności jest gotów i świeci przykładem dla innych. Spełnia więc przedewszystkiem swoje osobiste obowiązki, czy naukę szkolną, czy pracę zarobkową, czy wreszcie swoją służbę w zastępie. Jest słowny, sumienny, nigdy się nie spóźnia, słowem spełnia ze zrozumieniem, z ochotą obowiązki swego stanu. Przez to będzie żywym przykładem dla chłopców zastępu.

A co do gawęd? Zapomnijcie o czczej gadaninie. Mów mało, ale wiele słów ważkich, treściwych, które głęboko w twą zapadły duszę, a zato z uśmiechem i z radością, że skarbem swym dzielisz się z chłopcami. Prosto, jak brat bratu, słowami niewyszukanemi, niewymuszonemi, ale żywo i za każdym razem coś nowego. Wzbudź w swych chłopcach zaciekawienie, poznaj ich wszystkich, rozpytuj się o ich życie rodzinne, a potem ich dusze, jak brat prowadź do nowego życia. Uważaj na intensywność ich pracy. Można ją podnieść przez szlachetne współzawodnictwo wśród chłopców. Nie należy pozwalać na wyśmiewanie się z gorszej lub mniej ładnej pracy, trzeba uczyć

się szanować odmienne, ale i cenne zdolności na różnych polach. Można częstokroć chłopca zrazić, a zastępowy właśnie budzić winien zapał, pragnienie dorównania innym; w ten sposób podnosząc i dbając o pracę wszystkich.

Cały zastęp niech ,,zgra się'', niech wzajemnie się pozna przez obcowanie stałe, rozmowy, czytanki, pogawędki, wycieczki, harce, herbatki wspólne, gawędy przy ognisku i t. p. ,,Zgranie się'' wyklucza krytykowanie, zadowolenie w zastępie niech na stałe się rozgości, chęć do pracy niech wszystkich skupi, a członkowie niech wzajemnie sobie ufają i wierzą. W takim środowisku istotnie podniesie się chłopięca dusza. Zżycie się tworzy zawsze w zastępie życie pogodne, proste a zarazem pociągające. Połączy ono wówczas i członków zastępu z zastępowym, zniknie jakby wojskowa zależność, chłopcy zrozumieją, że żołnierzami nie są, ale mogą być w odpowiednim czasie i wieku, a teraz przygotowują się jak najlepiej służyć Ojczyźnie. Wszyscy więc harcerze zastępowi czy szeregowcy, choć odmienne ich obowiązki, są w jednym szeregu, idą razem w młode życie z pogodą błękitnego nieba, z uśmiechem do pracy! Duża nas gromada zwarta, spojona węzłem służby Ojczyźnie!

Rozsiejmy ziarno pogody i radości życia. Nie będzie tam już miejsca dla smutnych i pełnych rozczarowań. Zato ziarno rzucone w glebę da kiedyś stokrotny plon. Piękny to będzie plon przyszłego szczęścia na ojczystym zagonie... tu tak blizko.

Pietrek.

,,A KTO CHCE ROZKOSZY UŻYĆ NIECH DO SKAUTEK IDZIE SŁUŻYĆ'',

mówi najstarsza harcerska piosenka. Musi to być prawda, bo te harcerki zawsze wesołe. Czasem mróz, słota, każdyby się krzywił i złościł, a one śmieją się tylko i śpiewają. Czasem to już zły duszek lenistwa cieszy się ze swego tryumfu, bo lekcji dużo, a dziewczynie nie chce się ich odrobić, gdy jednak pomyśli: ,,jestem harcerką'', dziewczyna zabiera się z takim zapałem do lekcji, że zły duszek lenistwa ucicha, postanawiając, że nigdy nie wejdzie do domu, gdzie mieszka harcerka. Chodzi sobie po świecie, a gdy usłyszy gdzie piosenkę harcerską, pieni się ze złości. Bo cóż to za nowa moda, żeby dziewczynom chciało się gdzieś ,,służyć'' i to jeszcze ma być rozkoszą!? Niedość na tem, mają jeszcze zbiórki, na których mówią o życiu swojem codziennem i o pracy nad charakterem. Urządzają sobie gry najrozmaitsze i ćwiczenia, żeby zdobyć sprawność harcerską.

Zły duszek wędruje dalej i widzi rzeczy coraz dziwniejsze.

Przychodzi godzina warsztatów, gdzie dziewczyny uczą się pracować porządnie, a śpiewają i śmieją się ciągle, jakby to była najweselsza zabawa. Mają różne warsztaty: guzikarskie, introligatorskie, koszykarskie, zabawkarskie, haft, zdobnictwo ludowe, a nawet druhny z jednej drużyny szewstwa się nauczyły.

Widzi duszek, że i tutaj nic po nim, idzie więc za miasto. Masz! tu nowa wycieczka harcerska. Tego już miał dosyć; rozwinął swe skrzydełka i uleciał hen daleko, gdzie nie spotka już nienawistnego Z. H. P.

Bo też na wycieczce podszepty złego duszka lenistwa nie odniosłyby skutku. Przedewszystkim, gdy jedziemy kolejką, zwykle mamy dużo okazji do spełniania przyjacielskich usług: tam jakaś kobieta dźwiga ciężki koszyk, tam znów jakiś kaleka nie ma miejsca, żeby usiąść, inny staruszek niema czem zapłacić za bilet; harcerki pomagają wszystkim i już cała wycieczka zaczyna się pod dobrą wróżbą.

Potem, gdy jesteśmy u celu, każda wyszukuje miejsce na obóz i to jest niezmiernie ważne, bo musimy pamiętać i zwracać uwagę na wszystko, żeby potem naprzykład nie rozłożyć obozu na bagnie, lub na mrowisku. A potem, gdy już obóz rozbity, jedzenie własnoręcznie ugotowanego obiadu! Nigdy w domu tak nam jedzenie nie smakuje, jak tu na wycieczce, choć nieraz przydymione lub niedogotowane. Nie krzywimy się na nic, bo też na wycieczce każda jest wesoła, w obozie harcerskim niema miejsca na zły humor. Nawet stojąc na warcie nie można się nudzić. Jesteśmy przejęte, żeby nikogo do obozu nie wpuścić, a że ,,strach ma wielkie oczy'', więc często zdarzają się alarmy, gdy wiatr poruszy krzakiem, każdy zając, każda wrona wydaje nam się harcerzem lub harcerką.

Smutna jest tylko chwila, gdy padnie rozkaz powrotu. Ale pomimo to droga powrotna jest najprzyjemniejsza: dziewczyny zżyły się ze sobą i jest nam razem dobrze i wesoło. Każda wycieczka zostawia nam miłe wspomnienia i coraz większe ukochanie harcerstwa, które uczy nas zżywać się z przyrodą i nauczyło nas, że przy najcięższej pracy, nawet przy uczeniu się słówek, można być wesołą.

Dział biszkoptowy.

Któż są ci moi przyjaciele, którymi kazano mi się opiekować?

Biszkoptami w Anglji nazywają chłopców harcerzów, którzy mają dopiero 3-ci stopień. Niestety, gdyby i u nas, w Polsce chciano w ten sam sposób użyć tego miana, toby biszkoptów było conajmniej 90%, a w tym (o, zgrozo!) niejeden oficer harcerski, czy też wyższa szarża, jak wolicie.

U nas pospolicie biszkoptem nazwano wszystkich Harcerzy, którzy nie mają nawet 3-go stopnia. Nie myślcie jednak, że nazwę ,,biszkopt'' przyjęto od pulchnego wyglądu tych młodzieńców. Broń Bo-

że! W większości wypadków są to chłopcy bladzi, chudzi i chucherkowaci, jak nieboskie stworzenia. Lecz po kilku miesiącach nie poznałbyś czytelniku tych dawnych cherlaków!

A może ciekawi jesteście, jak się odbywa pierwsza wycieczka biszkopta? (Harcerze, nie rumieńcie się!).

Już na kilka dni przed ,,wyką'', skoro biszkopt usłyszy o niej od swego zastępowego (przeważnie ,,angielskiego'' biszkopta), zaczynają się gremjalne przygotowania w domu Jurka, Stefka, Janka, czy jak zresztą chcecie...

Bardzo, bardzo ciekawe, ale cóż dopiero powiedzieć o dniu wymarszu! Wszyscy są jakby naelektryzowani i na wyścigi pomagają pupilowi pakować plecak, jakby sobie biszkopt sam tego zrobić nie umiał. Niczego nie zapomniano: jest tam i wędlina, i madżiki, i chleb z masłem (bez kartek!?!), i ciepła bielizna, i ubranie na zmianę i wreszcie... maszynka spirytusowa, bowiem harcerz jest przezorny!

Ale prawdziwe nabożeństwo zaczyna się wtedy, gdy nasz bohater zaczyna się ubierać. Na cały pancerz wszelkiego rodzaju koszulek i trykotów, pakuje nasz rycerz plecak, a owinąwszy szyję szalem, wychodzi na ulicę.

Wszyscy oglądają się za tym dziwnym monstrum, lecz on to przyjmuje za dobrą monetę i uśmiecha się, patrząc o ile tylko może z góry z za swego szalowego szańca.

Na wycieczce różnie bywa, ale po powrocie biszkopt chodzi, jak wniebowzięty i znów po kilku dniach sypie na drugą ,,wykę'', jednakże bez maszynek, szali i t. p.

ŻKO.

WYRZEKANIA.

Ciężko skautom żyć, mój Boże,
Prześladuje ich kto może!
  To bieda, oj to to to!
  To bieda, niedola!
Na wycieczkę gdy wędruje,
Mama, ciocia opatruje!
  To bieda... i t. d.
Mama kaszy, maggi, chleba,
Ciocia wędlin i co trzeba!
  To bieda... i t. d.
Mama kożuch ciepły wcale,
Ciocia sweater i dwa szale!
  To bieda... i t. d.
A na drogę to wskazówki:
,,Nie przeziębi się, nie stłucz główki!''
  To bieda... i t. d.
Wraca chłop rozpromieniony,
A tu gniewy z każdej strony!
  To bieda ... i t. d.
,,Bój się Boga, chłopcze drogi,
Czemuś tak ubłocił nogi?
  To bieda... i t. d.
Czemu kurtka poszarpana,
Buzia błotem umazana?!
  To bieda... i t. d.
Gdzie masz wstyd i gdzie sumienie
Tak marnować nasze mienie?!''
  To bieda... i t. d.
On miast płakać wciąż się śmieje
I znów na wycieczkę wieje!
  To bieda...i t. d.

W. Ruszkowski.

WYWIAD WSI.

Epizod z kolonji w Podsowiu.

Zostaliśmy wysłani w 8-miu ludzi ze Słoniem na wywiad do wsi Drażniewo, leżącej o 1 ½ wiorsty od naszej szopy.

Wyszliśmy szykiem ubezpieczonym, ja szedłem w straży tylnej. Z przestankami, chowaniem się i t. p. doszliśmy wreszcie do skraju lasu, pod którym wieś leżała. Tu zwinęliśmy straże boczne, ponieważ były już niepotrzebne i zauważeni tylko przez dwuch chłopów, jedną babę i dwoje dzieci, doszliśmy do wioski. Na początku wsi zostawiliśmy ukrytą czujkę. Wypuściwszy ,,na oko'' Manlichera, rozdzieliliśmy się na dwie partje i poszliśmy za szpicą po obu stronach drogi. Każdy z nas miał na co innego zwracać uwagę, np. na długość drogi, na ilość studzien, na punkty orjentacyjne, na ilość gołębi na dachu, na ducha panującego wśród mieszkańców i t. p.

W środku wsi zostawiono straż, a z końca Drażniewa, Słoń wysłał patrol do sąsiedniej wioski, w celu zbadania, czy znajduje się w niej nieprzyjaciel.

Za chwilę patrol powrócił i przyniósł wiadomość o zbliżaniu się nieprzyjaciela. Nasz komendant ukrył nas w krzakach i za chwilę nadeszło oko nieprzyjacielskie, mówiąc do swoich: ,,Ich tu napewno niema''.

Szpicę przepuściliśmy, lecz, gdy nadeszła siła główna, zaczęliśmy na komendę Słonia strzelać ,,paczkami''. Wreszcie, założywszy bezpiecznik i celownik zwykły i nałożywszy ,,bagnet na broń'', (wszystko to udało się nam dzięki naszej bujnej fantazji), rzuciliśmy się z okrzykiem ,,hurra!'' na nieprzyjaciela, zabijając z pośród nich dwuch, a w tej liczbie i komendanta. Jednak należy przyznać, że choć nam więcej czapek brakowało, zwycięstwo zostało przy nas, bo dobiliśmy resztę bagnetami.

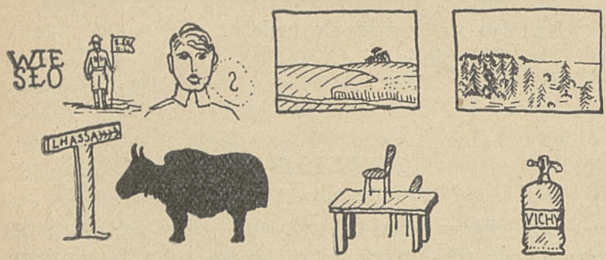
Godne jest uwagi zachowanie się mieszkańców, zdziwionych niepomiernie naszym postępowaniem. Najpierw uciekli wszyscy do domów, ogarnięci panicznym strachem, a ,,Pchełka'' ,,widział'', jak ,,uciekano z bydłem do domu''. Nieprzyjaciel cofnął się ,,w należytym porządku''.

I my wreszcie inną drogą wróciliśmy do szopy. Po drodze zaniemógł nam ,,Pchełka'' i musieliśmy go wsadzić na nosze, zrobione z palików i marynarek,

i wtedy zrozumiałem, dlaczego „Pchełka" widział zapędzanie bydła.

Po powrocie zastaliśmy naszych nieprzyjaciół, smacznie zajadających obiad. *M.*

REBUS.



ALARM W NOCY.

Zastęp mój, złożony z najmłodszej naszej osady harcerskiej, objął wartę. Postanowiłem wypróbować moich „bubów". Kiedy nadszedł wieczór, wyznaczyłem wartowników, o godz. 10-ej postawiłem jednego z nich na warcie, całemu zaś zastępowi kazałem położyć się spać. Dopilnowałem, aby się zupełnie rozebrali. Radość ogarniała mnie, gdym widział na ich twarzach powagę i dumę, że na nich spoczywa bezpieczeństwo całej osady. Każde słowo moje chwytano w lot, każden rozkaz wykonywano natychmiast.

Szopa nasza stała na wzniesieniu u skraju boru, miała więc za sobą gęstwinę starych, wyniosłych sosen. Na prawo z boru wysuwały się zarośla leszczyny i olszyny i sięgały aż brzegu Bugu. Na lewo zaś u samych sosen zaczynały się ugory i ciągnęły się też ku rzece, część tylko pokryta była młodym zagajnikiem.

Wrota naszej szopy wychodziły w bór, gdzie wśród drzew stała kuchnia, a obok niej była urządzona piwnica. Warta musiała obchodzić szopę, dochodzić do kuchni i pilnować piwnicy.

Z moim plutonowym, Guciem, i komendantem warty z dnia poprzedniego, Dzikiem, ułożyliśmy cały plan alarmu. O umówionej godzinie tedy Dzik budzi mnie, przypominając, że zginął toporek, że trzeba go szukać, nim go ktoś skradnie. Wychodzimy na dwór. Wartownik ma z nami szukać. Odprowadzamy go za szopę. Tymczasem Gucio niepostrzeżony wymknął się za nami i uszedł w bór... Ciemna noc była z nami jakby w zmowie. Ukryła Gucia. Myśmy zaś po daremnych poszukiwaniach powrócili z Dzikiem i udajemy, że śpimy. O godzinie 11 ej zmiana warty. Zych zostaje wartownikiem. Musiało już być po wpół do dwunastej, gdy usłyszałem jakieś łomotanie, jakby ktoś rozwalał deski naszej kuchni. „Zaczął"—pomyślałem i wytężyłem słuch. Nastała znowu cisza. Nagle łomotanie się powtórzyło, ale prawie jednocześnie rozległ się gwizdek i wrzask. Usłyszałem kroki: Zych biegł do mnie, jako do komendanta warty. Zaciskam powieki, udaję, że smacznie chrapię. Warta mię szarpie, słyszę gorączkowo wyrzucane słowa, wreszcie dość szarpań, „budzę się", pytam się, co się stało. Ktoś się dobiera do kuchni? Gonić trzeba! łapać! Zrywam się w tej chwili. „Obudzony" Dzik zaalarmował zastęp. Wybiegam przed szopę, dopinam pasek. Chłopcy już czekają, nie wszyscy wprawdzie, ale co chwila ktoś przybiega, zajmuje miejsce w szeregu. Szeptem cienkie głosy zwierzają sobie nawzajem swe domysły. Gotowi! Naprzód! Cicho! Wtem między drzewami cień przemknął. To on, Gucio! Odgadłem, ale chłopcy nie poznali: miał na sobie pelerynę długą i czapkę wytrychowca...

Jest! Jest winowajca, który czyhał na całość kuchni. W tyraljerkę rozrzuciłem chłopców. W pogoń! Franek z rączemi nogami wyprzedził innych. Złapie! — pomyślałem. Już, już jest blizko... Niestety, potknął się i runął jak długi. O! Nocy ciemna! Wybawicielko Gucia! Dzięki tobie niepoznany dotarł do olszynki. W olszynce złodziej! Ale nie ujdzie. Zbieram znów zastęp, ustawiam, rozrzucam powtórnie w tyraljerkę. Otaczamy olszynkę ruchem skrzydłowym od strony lasu, kierujemy się ku rzece. Zychowi polecam przeszukać zarośla. Ten jednak nie bardzo chce w gęstwinę się zapuszczać. I dobrze zrobił, bo to uratowało znów Gucia. Gdybyśmy się tam wszyscy udali, nakrylibyśmy niechybnie zbiega. Tymczasem stanęliśmy na brzegu Bugu. Biegiem harcerskim dotarliśmy do ugorów; na ugorach często gęsto któryś z chłopców rozciągał się na ziemi. Wkrótce byliśmy w zagajniku. Nagle wstrzymałem ich: „Stój! Słychać trzask gałęzi!" — Potwierdzili moje przypuszczenie natychmiast. „Padnij!" Cisza zaległa... a do uszu moich doleciało — szczękanie zębów moich „bubów". Leżeliśmy czas jakiś, a nie usłyszawszy nic więcej, biegliśmy dalej. Wysłałem na poszukiwanie wśród chojaków Bodzia i Zycha, ale naturalnie nikogo nie znaleźli. Gucio w tym czasie z olszynki dostał się do szopy, a stojący na warcie Dzik, puścił go swobodnie. Gdyśmy powrócili do szopy, domniemany złoczyńca był już dobrze rozespany. Ściągnąłem go jednakże z łóżka. Stanął przed nami boso i w koszuli. Jako plutonowemu złożyłem raport. Ledwo mogłem powstrzymać się od śmiechu, gdy chłopcy opowiadali, jak wyglądał zbieg: miał czarną czapkę, obszarpane spodnie, bosy. Tymczasem Gucio był w długich butach, krótkich spodniach i w szarej czapce. Nie zauważyli też, że plutonowy mało się interesował powodem alarmu, że Dzik i ja byliśmy uzbrojeni w sztuczną powagę. W ich głowie nie mogło jednak w żaden sposób pomieścić się, że plutonowy, w koszuli, rozespany i złoczyńca, którego gonili, to jedna i ta sama osoba. Nie podejrzewając też nic, poszli spać, dopiero nazajutrz Gucio się wygadał, powstały domysły i cały kawał na jaw wyszedł. Muszę jednak przyznać, że się chłopcy dobrze sprawili, myślałem, że będzie gorzej.

Zastępowy.

Co harcerz wiedzieć powinien.

O ROBIENIU PRZEZROCZY.

Przy nauce specjalności lub sprawności, częstokroć zachodzi potrzeba okazania bardziej złożonych rysunków, a narysowanie ich na tablicy podczas gawędy, bądź pokazanie w książkach, nie zawsze jest możliwe. Gdy mamy do rozporządzenia odpowiednią latarnię, możemy używać przezroczy, ale przeważnie brak ich jeszcze w tych działach, w których są nam potrzebne, przygotowanie zaś nowych specjalnych fotografji jest dość kosztowne i, na prowincji zwłaszcza, niezawsze możliwe. Istnieje jednak sposób możliwie taniego a szybkiego przygotowania przezroczy, wynaleziony przez harcerzy warszawskich.

W składzie przyborów rysunkowych kupujemy arkusz gładkiej żelatyny, służącej do kopjowania. Arkusz dzielimy nożyczkami lub bardzo ostrym nożem wzdłuż linijki na kwadraciki rozmiarów zwykłych przezroczy t. j. 8 × 8 cm.. Na takim kwadraciku piórkiem i tuszem wykonać można z łatwością własny rysunek, albo też, przyłożywszy do fotografji lub rysunku w książce, przekalkować na przezroczystej żelatynie kształty żądane. Następnie kawałek żelatyny z rysunkiem wkładamy między dwa szkiełka, używane do ochraniania przezroczy, które nabyć można w składzie przyborów fotograficznych i krawędzie szkieł szczelnie oklejamy wązkimi paskami papieru. Żelatyny nie należy zbyt często dotykać palcami, a w czasie rysowania podłożyć trzeba pod rękę kawałek papieru, gdyż żelatyna zwilżona albo rozgrzana zachowuje bardzo widoczne ślady dotknięcia, co mąci wyrazistość przezroczy. *Z.*

CZY BĘDZIE POGODA?[1])

Gdy się wyrusza na wycieczkę lub gdy się układa z góry na kilka dni program zajęć w obozie, dobrze jest umieć przewidywać, jaka będzie pogoda.

Rzecz to jednak trudna, często zawodna, ale niezbędna przy ćwiczeniach pod gołym niebem, a w szczególności przy wodnych i górskich harcach.

Przewidywanie pogody opiera się na spostrzeżeniu wielu zjawisk przyrody. A więc i w tym wypadku spostrzegawczość harcerza odda wielkie usługi. Nasze spostrzeżenia dotyczyć muszą: kierunku wiatru: rodzaju i wyglądu chmur; wschodu i zachodu słońca; ciśnienia atmosferycznego; wilgotności powietrza i innych drobniejszych zjawisk otaczającej natury. Wszystkie te zjawiska są w pewnej od siebie zależności: kierunek wiatru wpływa na zniżkę i zwyżkę barometryczną; kształty chmur i ich kierunek zależy od wiatru; wiatr zachodni przynosi z nad morza wilgoć, a ta się udziela otaczającej nas przyrodzie i t. d.

[1]) Poniższe wskazówki oparte są na spostrzeżeniach pr. pr.: Ellemana i Michelsona.

1. Cechy długotrwałej słoty.

Wogóle rzec można, że należy się spodziewać słoty przy wiatrach północnych, często też zachodnich a przedewszystkim, gdy wiatr ku wieczorowi nie słabnie, lecz przeciwnie, staje się silniejszy.

Przed słotą powietrze jest zazwyczaj jasne, przejrzyste, tak, że w okolicach górskich zarysy nawet bardzo odległych przedmiotów dają się doskonale odróżnić, a sylwety ich są ciemne, często prawie czarne.

Wieczorem, (szczególnie w zimie) przy zachodzie słońca wskazówką pewną jest nizka chmura warstwowa, rozpostarta jak mglista opona (śnieg); w lecie natomiast, gdy w dzień przy jasnej pogodzie chmury zaczynają przybierać — szczególnie pod wieczór — charakter warstwowo-kłębiasty lub gdy po ukazaniu się szybko poruszających chmur pierzastych, nieboskłon pokrywa się stopniowo delikatną oponą chmur warstwowych i w szeregi rozłożonych chmurek (baranki). Podobnym objawem jest t. zw. pospolicie ,,zanoszenie się nieba''; wtedy zwykle, mimo pozornie niezachmurzonego nieba, natężenie promieniowania słonecznego ulega znacznemu zmniejszeniu lub wykazuje bardzo nieregularny przebieg dzienny. Po



pierzaste; kłębiaste; wastwowe; ,,baranki'';

przejściu zniżki barometrycznej spodziewamy się słoty, choćby się niebo wyjaśniło, gdy wysoko suną pięknie zarysowane chmury pierzaste ponad rozerwanemi chmurkami kłębiastemi lub gdy obłoki górne silnie oświetlone poruszają się w tym samym kierunku, co i dolne chmury ciemne. Czasem pomocny jest nam i księżyc, gdy otoczony jest małymi barwnymi kręgami o maleńkiej średnicy, gdy ubiera się w ,,lisi kołpak'', wiemy, że nie będzie pogodnie.

2. Cechy dżdżystej pogody.

Objawy są tu najczęściej podobne do objawów stałej niepogody. Deszcz przynoszą zwykle wiatry zachodnie, szczególnie, gdy szybko gnają chmury pierzaste zwykle w postaci długich piór lub chmury rozłożone na kilka warstw; gdy po silnych zmianach kierunek wiatru się ustala (na zachodzie) lub wiatr prawie ustaje, a chmury pierzaste przechodzą w pierzasto-warstwowe, lub gdy kierunek ruchu chmur nie odpowiada kierunkowi wiatru w warstwie dolnej, lecz w porównaniu z ostatnim wykazuje widoczne odchylenie. Po dniu jasnym można się spodziewać w nocy zmian, gdy pokazują się chmury ku wieczorowi i wzrastają, silnie grubiejąc, wiatr zwiększa się, lub, gdy tło barwne przy zachodzie słońca (lub księżyca) trwa dłużej, niż to wypada dla danej pory.

3. Cechy burzy lub ulewy.

Wiadomo powszechnie, że burzę poprzedza czas dusznej atmosfery, czemu towarzyszy spokój w naturze, który przed samą burzą często przechodzi w niepokój, objawiający się szczególniej u zwierząt; wiatr się zmienia i to z północnego lub zachodniego na południowy, poczem niebo zanosi się chmurami kłębiastemi, zwykle w formie spiętrzonych wałów.

W nocy możemy się spodziewać burzy, gdy tworzą się chmury warstwowo kłębiaste; rano oczekujemy jej w ciągu dnia, gdy pojawiają się na niebie chmury pierzasto-kłębiaste, szczególnie zaś, gdy wierzchołki ich wzrastają wachlarzowato (Cirri) lub w formie grzybów. Dźwięk i wszelki odgłos, choćby bardzo oddalony słychać wówczas znakomicie.

4. Cechy polepszającego się stanu pogody.

Możemy się spodziewać polepszenia się pogody, gdy niewielkie chmury kłębiaste ciągną w tym samym kierunku, co i wiatr, lub gdy na niebie występuje tylko jedna warstwa chmur; gdy wiatr zmienia swój kierunek przed południem wraz z biegiem słońca, a po południu w kierunku przeciwnym względem jego ruchu pozornego.

Dobrymi objawami są: wieczorna rosa i mgła, która się tworzy wieczorem lub w nocy w miejscach niżej położonych, a następnie znika przy wschodzie słońca, oraz wogóle zmniejszenie się wilgotności rano, a zwiększenie ku wieczorowi. Pamiętajmy również, że bywa wtedy cieplej w lesie niż w polu, a, gdy wstąpimy nad wieczorem lub w nocy na pagórek lub wzniesienie, uczuwamy się nagle w otoczeniu cieplejszego prądu powietrza.

5. Cechy stałej pogody.

Gdy ma być skwar lub posucha, wiatry wieją zwykle od wschodu, wogóle zaś ustają lub zmieniają się zupełnie regularnie (wybrzeża mórz i jezior). Zwykle piękną pogodę zapowiadają chmury pierzaste, ciągnące ze wschodu, rankami nieruchome, zawsze jednowarstwowe lub tworzące się w ciągu dnia chmury kłębiaste, wieczorem niknące, albo słońce zachodzące i wschodzące bez powłoki z chmur.

Doskonałą wskazówką jest srebrzysto-biała smuga po zachodzie słońca i cisza nocna z rannym słabym wietrzykiem, który wzrasta ku południowi, by znów osłabnąć ku północy. Wieczorami i rankiem rozpościera się wtedy sucha mgła; w porze południowej zaznacza się wyraźnie chwilowa zniżka w natężeniu promieniowania słonecznego.

T. S.—S. R.

STEFAN FERCH.

O sposobie zdejmowania planów.

I.

Jako dział nauki o terenie, która tak wybitne stanowisko zajmuje w naszej pracy harcerskiej — istnieje szkicowanie.

Sama nazwa wskazuje, iż jest to pobieżne, mniej więcej dokładne przedstawienie odcinka terenu, dla wyjaśnienia wywiadu lub raportu. Uczymy się, by móc skorzystać z nich podczas ćwiczeń harcerskich, a z czasem na wojnie, gdzie brak czasu i wyjątkowe okoliczności nie pozwalają na dokładniejsze jego przedstawienie.

Podczas mej służby harcerskiej spotykałem dość często wypadki, kiedy ja i moi chłopcy odczuwaliśmy brak umiejętności sporządzania dokładniejszego planu.

Różni ludzie słusznie zwracali się do nas, jako do chłopców, którzy mają do czynienia z terenoznawstwem, mapami i szkicowaniem, sądząc, że potrafimy zrobić ogólny plan majątku, podwórza czy ogrodu.

Nie można wymagać od harcerzy, żeby robili szczegółowe pomiary geometryczne lub niwelacyjne, gdyż do tego trzeba umiejętności, wprawy a, co najważniejsza, kosztownych instrumentów. Lecz można zrobić plan dość dokładny, w każdym razie zupełnie wystarczający do domowego użytku i to bez specjalnych przyrządów i przy tych wiadomościach, jakie posiada harcerz II stopnia. Sposobów dokonywania pomiarów dla nas dostępnych, istnieje kilka.

Zajmiemy się tutaj sposobami zdejmowania planów za pomocą wytykania prostopadłych i mierzenia ich. Choć ten sposób pomiaru wymaga dość dużo pracy i czasu na polu, jednak wybrałem go, gdyż jest najprostszym. Instrumenty zaś potrzebne do tego, będziemy sami mogli sobie zrobić — bez znacznych kosztów. Aby zdjąć plan jakiejś części gruntu, trzeba mieć przygotowanych kilka tyk, sznur mierniczy, albo cyrkiel i węgielnicę. Tyk używamy do znaczenia charakterystycznych punktów w terenie, lub wytykania linji. Są one zwykle 2 metrowej wysokości z wiechami lub chorągiewkami barwnymi na czubkach, aby były zdaleka lepiej widoczne.

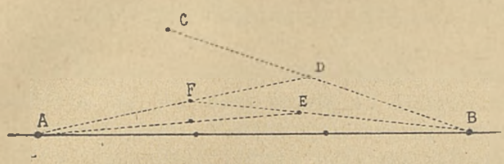
Obrawszy sobie kierunek prostej, którą chcemy wytknąć w polu, umieszczamy na jej końcach tyczki A i B.

Towarzysza posyłamy z tyczkami, aby szedł wzdłuż linji AB i np. co 30 lub 40 metrów zaznaczał wiechami tę linję. Sami zaś, stojąc o jakie 2 kroki przed tyczką A, patrzymy na nią i na wiechy B i kierujemy pomocnikiem tak, aby tyczki, które on stawia, były zasłonięte z wiechą B przez A.

W ten sposób wytkniemy linję prostą, o ile widzimy oba jej końce.

Wytknięcie linji prostej, gdy w terenie z jednego końca nie można widzieć drugiego, odbywa się w sposób następujący.

Dwuch pomocników z tyczkami staje o ile można najdalej od siebie pomiędzy punktami końcowymi A i B, tak iż każden z nich widzi obydwa punkty; gdy więc jeden stanął np. w punkcie C twarzą ku B, a drugi w punkcie D twarzą ku A, wtedy stojący w D, kieruje stojącego u C na A. Przez to ostatni, stanąwszy np. w punkcie F kieruje na B stojącego w D, który tym sposobem staje w punkcie E. To wzajemne kierowanie trwa dopóty, dopóki obydwie tyczki nie staną w prostej linji z punktami A i B (p. rys. 1).

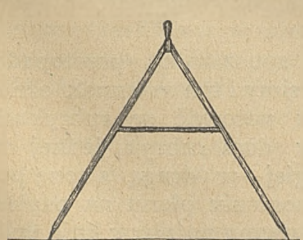


Rys. 1.

Do mierzenia linji w polu używamy taśmy stalowej, którą można zastąpić sznurem z węzłami co metr, 5 i 10 metrów. Na końcach sznura przywiązujemy dwa paliki dla łatwiejszego trzymania przy mierzeniu. Aby sznur uchronić od działania wilgoci, nacieramy go dokładnie woskiem.

Do mierzenia sznurem jest potrzebny pomocnik, któremu dajemy 10 zatyczek i jeden koniec sznura i posyłamy go przodem. Sami przykładamy początek sznura do pierwszej tyczki, czyli do początku naszej linji.

Gdy sznur jest już ułożony na linji i wyprężony, pomocnik wtyka w miejscu swego palika zatyczkę i idzie ze sznurem dalej. My zaś doszedłszy do zatyczki, wyjmujemy ją a na jej miejsce stawiamy swój palik z końcem sznura. Tym sposobem liczba zatyczek przez nas zebranych pomnożona przez długość sznura da nam długość linji. Mierząc sznurem, należy uważać: 1) ażeby nie zbaczać z kierunku linji, którą mierzymy; 2) aby sznur leżał prosto i był jednakowo wyprężony, lecz nigdy zanadto; 3) aby paliki końcowe były wtykane pionowo i dokładnie w oznaczonym miejscu.



Rys. 2. Cyrkiel.

W ten sposób przy niewielkiej wprawie można szybko mierzyć długie linje. Praktyczniejszym przykładem, szczególniej do mierzenia krótszych linji jest t. zw. cyrkiel mierniczy, drewniany, okuty na końcach, aby dokładnie wskazywał jedną i tę samą długość (p. rys. 2).

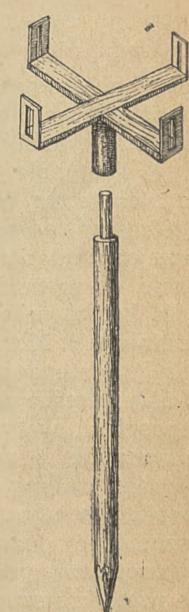
Mierzy się cyrklem w ten sposób, że, trzymając go w prawym ręku, obracamy za pomocą rączki to na prawej, to na lewej jego nóżce. Z dokładnie liczonych obrotów cyrkla obliczamy długość linji.

Dodatnią stroną cyrkla jest to, że nie odejmujemy go od ziemi, a więc unikamy błędów, jakie wynikają między jednym przyłożeniem miary (sznura) a drugim. Ujemną zaś to, że idąc obok cyrkla, nie zupełnie jesteśmy w możności stawiać go na jednej prostej, a zbaczamy i w ten sposób mierzymy linję nieco łamaną.

Do oznaczenia kąta prostego służy przyrząd zwany węgielnicą — łatwo go zrobić samemu (p. rys. 3.

Na paliku zakończonym z jednej strony ostrzem do wbijania w ziemię przymocowujemy poziomo dwie deseczki (długie około 25 cm., szerobie 2—3 cm.) pod kątem prostym ,,na krzyż''. Deseczki należy po uprzednim wycięciu wpuścić jedna w drugą. Na końcach deseczek umieszczamy przezierniki, ustawione pionowo. Składają się one z deseczki (dług. 6 — 7 cm., szerok. 2—3 cm.) w środku ze szparkami.

Na każdej deseczce poziomej będziemy mieli przeziernik oczny, przez który patrzymy, i drugi — przedmiotowy. Przytym przeziernik przedmiotowy posiada szparkę szerszą, wzdłuż której przeciągamy grubą nitkę. Przezierniki winny się znajdować w jednej odległości od środka skrzyżowania deseczek poziomych. Przezierniki możemy zastąpić tej samej długości pręcikami stalowymi. Aby ułatwić sobie obracanie węgielnicy, umieszczamy pod skrzyżowaniem deseczek rurkę blaszaną, a tę dopiero wkładamy na palik. Wówczas węgielnica jest ruchoma, lecz powinna się obracać ciasno. Aby uchronić przyrząd od spaczenia i wilgoci malujemy go olejną farbą.



Rys. 3.
Węgielnica.

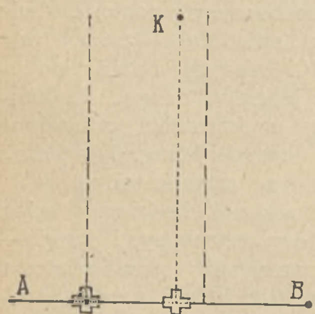
Aby wystawić prostopadłą do płaskiej AB z dowolnego punktu na tej prostej, ustawiamy węgielnicę na linji AB. Przezierniki ustawiamy w takim położeniu, aby, gdy patrzymy przez jedną parę przezierników, nitka przeziernika przedmiotowego przeszła wiechę A lub B. Nie poruszając węgielnicy, spoglądamy przez drugą parę przezierników, która nam wskaże kierunek szukanej prostopadłej.

Aby spuścić prostopadłą na prostą AB z danego punktu K (o co będzie nam chodziło przy naszym planie), ustawiamy węgielnicę na danej prostej AB i kierujemy jedną parę przezierników na tyczkę A lub B; patrzymy przez drugą parę ,czy nitka nie przechodzi przez punkt K. (p. rys. 4).

Jeżeli nie, przesuwamy węgielnicę całą w tę lub drugą stronę wzdłuż linji AB, póki nie osiągniemy tego, iż przy skierowaniu pary przezierników na tyczki AB, druga para wyceluje na punkt K. Wtedy od stanowiska, na którym stoi węgielnica do pun-

ktu K wytykamy prostą, która jest prostopadłą do AB.

Aby sprawdzić dokładność węgielnicy krzyżowej, ustawiamy ją w dowolnym punkcie, celujemy przez obie pary przezierników i ustawiamy ze wszystkich 4-ch stron tyczki, padające na linje celne. Następnie obracamy instrument o kąt 90 st. i jeżeli zatknięte tyczki i teraz padają na nitki przezierników, wtedy instrument jest zupełnie dokładny.



Rys. 4.

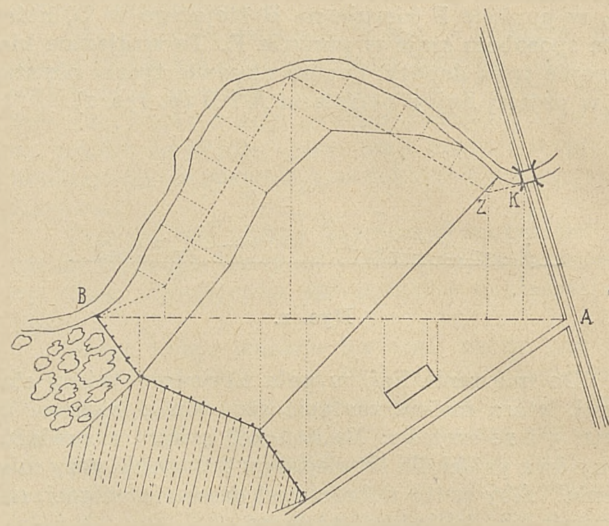
Przystępując do samego zdjęcia, dokonywujemy pomiary w polu, następnie przenosimy je na papier. Zaznajamiamy się więc z terenem przez nas zdejmowanym, a przedewszystkiem z jego konturem czyli granicą. Obchodzimy kontur i przez zamianę linji krzywych na łamane staramy się, aby przedstawiał on sobą wielobok. Na załamach stawiamy tyczki. Następnie wewnątrz terenu tyczymy linję przekątną możliwie najdłuższą) AB) — będzie ona stanowiła podstawę naszych pomiarów (rys. 5).

Następnie, idąc wzdłuż linji AB, wystawiamy z niej szereg prostopadłych, trafiających na tyczki, któreśmy poprzednio ustawili na konturze, a więc do miejsc najbardziej charakterystycznych, potrzebnych nam do wykreślenia planu. Pierwszą taką prostopadłą będzie prosta łącząca trzy punkta t. j. punkt K z linją AB. Mierząc długość linji AB do spadku pierwszej prostopadłej i długość tej ostatniej, możemy ściśle określić położenie punktu K. Odnalazłszy tym sposobem wszystkie charakterystyczne punkty, łączymy je z sobą i otrzymujemy kontur terenu. O ile trafimy na linję falistą naprzykład brzeg rzeki, wtedy, aby uprościć sobie pracę i nie spuszczać dużo długich pionów, wyprowadzamy pomocniczą przekątną, która posłuży za podstawę o wiele krótszych prostopadłych, określających brzeg rzeki (jak to widać na rysunku 5). Pomocnicze podstawy prowadzimy jednak w ten sposób, aby można było łatwo określić ich położenie do głównej AB. Położenie budynków, stawów, miedz, które napotykamy wewnątrz zdejmowanego przez nas terenu, określamy też w sposób powyżej opisany, wyznaczając charakterystyczne punkty, a więc węgły domów, załamania się miedz, przecięcia się ich z konturem (p. rys. 5).

Drogę uważamy zwykle za jednakowej szerokości, to też określamy jeden brzeg tylko, mierzymy szerokość i drugi brzeg rysujemy równolegle do pierwszego.

Przy wymierzaniu rzeki, która może przepływać wewnątrz gruntu przez nas zdejmowanego, oba brzegi powinny być wyznaczone. Wyznaczenie jednego brzegu będzie służyło do wyznaczenia drugiego.

Bardzo ważną rzeczą jest podręczne ułożenie w polu danych, na podstawie których będziemy przenosili plan na papier w domu. Przedewszystkim w notatniku trzeba naszkicować figurę mniej więcej podobną do figury gruntu. Oznaczyć na niej punkty charakterystyczne, z których będziemy spuszczali prostopadłe. Zapisujemy tam następnie długość linji głównej do spodka prostopadłej, długość prostopadłej.



Rys. 5.

№ prostopadłych	Długość linji AB od A do prostopadłej	Długość prostopadłej	Co określa koniec prostop.?
	11.5 m.	6 m.	Kąt między polem a łąką. Kąt miedzy z drogą.

Ponieważ z linji AB spuszczamy prostopadłe z jednej i drugiej strony, musimy i ten warunek oznaczyć. Najpraktyczniej jest notować w rubrykach wyżej podanych. Użyjemy dwu rubryk, jednej do pionów jednej strony, drugiej—w drugą stronę poprowadzonych. Przy przenoszeniu planu na papier, obieramy sobie skalę[1]). Rysujemy najpierw linję podstawy, główną przekątną, później oznaczamy na niej spodki prostopadłych, dalej same prostopadłe, w końcu przenoszenia przekątnej z prostopadłymi odpowiednimi. Łącząc otrzymane punkty charakterystyczne terenu, otrzymamy jego plan.

□□□□□□□□

[1]) O skali nie mówię, gdyż jest ona szczegółowo uwzględniona przy egzaminie na II stopień.

KAZIMIERZ BETLEY.

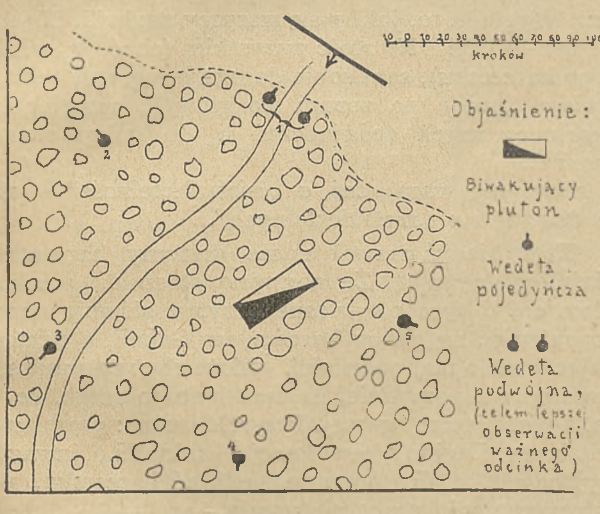
Ubezpieczenia w spoczynku.

(Forpoczty).

Do ubezpieczenia wyznacza się $\frac{1}{4}$ — $\frac{1}{6}$ część oddziału.

Gdy biwakuje 1 zastęp, wystawia się 1 — 3 posterunki, zwane wedetami, przyczym każdy składa się z 1 harcerza. Jeżeli biwakuje kilka zastępów, pluton lub trochę więcej, wówczas ważniejsze stanowiska obsadza się wedetami z dwuch harcerzy (Rys. 1.).

Wedety nie powinny być odległe od oddziału wystawiającego je, oraz jedna od drugiej, dalej, niż na odległość głosu. Pożądanym byłoby, żeby się widziały wzajemnie, jednak przy małych oddziałkach, biwakujących gdzieś w ukryciu, w lesie lub zaroślach, a więc w terenie zwykle bardzo mało przejrzystym, często jest to niemożliwym, i tu z pomocą w pierwszym rzędzie przychodzi słuch. Naturalnie, że i wedety i cały oddział powinny sprawować się możliwie cicho, by uchwycić najlżejszy szmer, oraz nie zdradzić się ze swym stanowiskiem przed nieprzyjacielem. Zajmując miejsce na biwak winniśmy pamiętać: 1-o o ukryciu, 2-o o łatwości obserwacji, 3-o o możliwości wycofania się (i to przynajmniej 2 drogami).



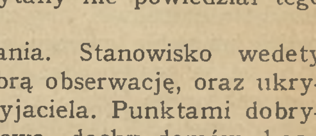
Rys. 1.

Zalety stawiania na wedecie 2 ludzi są następujące: 1) dany odcinek obserwowany jest szczegółowiej, obydwaj harcerze bowiem powinni zręcznie podzielić pole obserwacji pomiędzy sobą, aby każdy obserwował tylko swą część odcinka; 2) w razie wątpliwości co do spostrzeżenia jednego harcerza, drugi może ją usunąć; 3) w razie spostrzeżenia czy to zbliżania się nieprzyjaciela, czy innego podejrzanego szczegółu, jeden z harcerzy udaje się do oddziału z doniesieniem, drugi zaś w dalszym ciągu obserwuje; 4) napad na podwójną wedetę, wzgl. porwanie jej jest trudniejsze, niż gdyby był to harcerz pojedyńczy. O ile biwakuje mniejszy oddział i wystawia tylko wedety, to rozprowadza je albo sam dowódzca oddziału (do plutonu) albo wyznaczony zastępca (parę plutonów). Każda wedeta powinna posiadać nast. wiadomości: 1) kierunek przypuszczalny pobytu nieprzyjaciela; 2) linje ubezpieczenia własnego oddziału t. j.: a) odcinek (oznaczyć wskazaniem ręki, nazwać graniczne przedmioty terenu) przeznaczony do strzeżenia przez daną wedetę, wraz ze zwróceniem uwagi na punkty szczególne; b) stanowisko oddziału, oraz stanowiska wedet sąsiednich, oraz posterunków specjalnych. (Gdy oddział ubezpiecza się placówkami, to również podać należy stanowisko własnej placówki i placówek sąsiednich; patrz niżej).

3) Łączność z oddziałem. Mówiłem już o wyższości stawiania dwuch harcerzy na wedecie. Jednakże czasem i przy pojedyńczych wedetach można dzięki pomysłowości harcerzy urządzić dobre połączenia, szczególnie, gdy odległość wedet od oddziału je wystawiającego nie przewyższa kilkudziesięciu kroków (wzgląd na materjał). Np. żołnierze rosyjscy podczas wojny ros.-japońskiej między oddziałem wystawiającym, a wedetami przeciągali sznurki. Jeden koniec sznurka miała wedeta, u drugiego uwiązane było pudełko od konserw lub gałęź i t. p. Za pociągnięciem sznurka chrzęst pudełka lub gałęzi zwracał uwagę oddziału wystawiającego i dowódca wysyłał żołnierza do wedety po wiadomości.

4) Hasło, odzew, okrzyki lub znaki rozpoznawcze. „Hasło" zna każdy harcerz z ubezpieczenia, „Odzew" tylko komendanci. O odzew pyta się np. komendant patrolu, natknąwszy się na jakiś patrol lub wedetę w nocy, kiedy nie mogąc przeciwnika rozpoznać, chce sprawdzić, czy o hasło spytany nie powiedział tego nieprzyjacielowi.

5) Sposób alarmowania. Stanowisko wedety powinno zapewniać jej dobrą obserwację, oraz ukrycie przed wzrokiem nieprzyjaciela. Punktami dobrymi bywają zazwyczaj drzewa, dachy domów, kopy siana, szczyty pagórków. W terenie równym kopie się doły dla ukrycia wedety. Na uwagę zasługuje „dół mandżurski" (rys. 2), w którym człowiek siedzi sobie wygodnie. W razie potrzeby między stanowiskami wedet i oddziału wystawiającego kopie się rowy łącznikowe, by ułatwić skrytą komunikację. Wedecie nie wolno rozmawiać poza spostrzeżeniami służbowemi; nie wolno jeść; w razie deszczu może przykryć się płachtą namiotową, lecz nie wolno nakrywać



Rys. 2.

przy tym głowy. Ukłonów szarżom nie oddaje, zapytany przez starszego, zwraca się do niego lub zwraca tylko głowę, jeżeli zaś obserwuje coś bardzo ważnego i od tego jest zwolniony.

Harcerzom jednej wedety wolno oddalać się od siebie, tak jednak, by mogli się łatwo i dokładnie porozumieć. Gdy wedeta ujrzy kogoś zbliżającego się, daje o tym znać dowódcy oddziału wystawiającego, nie zdradzając o ile możności obecności swej przed zbliżającym się nieprzyjacielem, którego zatrzymuje na kilka (lub kilkanaście) kroków przed sobą słowami „Stój! — kto idzie? — Hasło?!”. Dowódca zaś woła „Przechodź!” lub każe ująć przybysza. Regulaminy wojskowe podają jeszcze parę dodatkowych przepisów. W pierwszym rzędzie zwraca się wedetom uwagę, by nie strzelały do małych oddziałów nieprzyjacielskich, lecz przesyłały wpierw o tem doniesienie. W razie zbliżenia się parlamentarza lub zbiega, należy go zatrzymać, polecić mu odwrócić się i czekać na przybycie dowódcy.

Wedety należy luzować zasadniczo co godzinę (wyjątkowo co dwie). W razie jednak niepomyślnych warunków atmosferycznych (deszczu, mrozu, zimna) lub wielkiego zmęczenia, co pół godziny. Luzowanie przeprowadza bądź sam dowódca oddziału wystawiającego, bądź zastępca, zw. „rozprowadzającym” lub „przewodnim”.

Podczas luzowania, jeden z harcerzy starej wedety, poucza nową o obowiązkach oraz o swych spostrzeżeniach, drugi harcerz obserwuje w dalszym ciągu, do chwili zluzowania. A to w celu zapewnienia ciągłości obserwacji.

Wedeta powinna pamiętać o zasadniczej taktyce napadu na posterunek. Mianowicie, gdy jest dwuch napastników, to jeden stara się dostać na tyły, drugi podkrada się gdzieś z czoła lub z boku i zaczyna podsuwać się hałaśliwie, aby zwrócić uwagę wedety całkowicie na siebie, z czego korzysta pierwszy i szybko rzuca się na posterunek. O ile jest wedeta podwójna, to nawet trzem ludziom trudniej już przeprowadzić coś podobnego. O ile wedeta składa się z jednego harcerza i napaść na niego chce tylko jeden harcerz, to stara się podpełznąć możliwie najbliżej. Następnie rzuca kamień tak, by na hałas wedeta odwróciła się w stronę przeciwną, z czego korzysta i rzuca się błyskawicznie naprzód.

O ile biwakuje oddział większy (drużyna, hufiec) to wystawia na odległość 400 — 1200 łańcuch placówek, placówki zaś wysuwają łańcuchy wedet, które powinny utworzyć łańcuch ciągły wzajemnie widzących się z sąsiadami posterunków.

TO i OWO.

Siedzę przy biurku redakcyjnym i... boję się (pomimo mej znanej powszechnie odwagi) pióra wziąć do ręki...

Pełno papierów wala się po zielonej bibule biurka.

Niestety, to tylko czysty papier! Czeka, aby go zapełnić czarnemi sylwetami moich „hieroglifów”. Co tu pisać?

O kim? O czem?

— Jakto?—spytacie — czyż to nie ma sprawozdań z prac, z życia harcerskiego, czy nic nie nadesłano, aby biedny referent redakcji mógł stworzyć swą kronikę? —

Niestety, (wzdycham) niema ani jednego! Żeby choć jedna z warszawskich drużyn, siedzących tuż pod bokiem (prawie o ścianę!?) coś napisała o sobie. Nic... Wygląda to, jakby się wszyscy zmówili. Niechże i tak będzie! Na złość wszystkim (choć to wcale nie po harcersku), sam sobie dam radę, zgodnie z przysłowiem „pójdę po rozum do głowy”, siągając do „skarbnicy mych doświadczeń i do księgi wspomnień”...

Powiem wam coś o „nieśmiertelności” (ale nie duszy!) i o „nieśmiertelnych”...

Ktoś kiedyś nazwał nasze drużyny harcerskie „nieśmiertelnemi”. Że nazwano słusznie, przekonałem się o tym na własne oczy, a głównie uszy, przypatrując się pracy harcerzy w Galicji, a wysłuchując wiele o niej opowieści. Może zbyt szumnie się wyrażam, ale pomyślcie, że tam było to samo, co u nas, a może jescze gorzej. Przyszła wojna: powołanie pod broń, Legjony, ewakuacja ludności, inwazja rosyjska i t. d. Rozproszyła się brać harcerska, ale i w rozproszeniu praca nie ustała.

Oto właśnie ta „nieśmiertelność” naszej idei i naszej pracy! Samorzutnie powstawać poczęły na obcej ziemi, wśród biednej, przygnębionej uchodźczej ludności oddziały harcerskie. Tak powstały drużyny w obozach dla uchodźców na Morawach, i drużyny Wiedeńskie, co do dziś jeszcze przetrwały i ślą nam bratnie pozdrowienia!

A w Krakowie nawet w chwili, gdy dolatywał huk armat i łuny widniały na horyzoncie, nie ustała działalność harcerska.

Dziś praca ta podejmowana przez samych skautów i skautki, może być nazwana zorganizowaną i rozwija się pomyślnie, pomimo warunków trudniejszych, niżby się z pozoru zdawać mogło — pod kierunkiem Związkowego Naczelnictwa Skautowego we Lwowie.

Lwów, zwykle bardziej ruchliwy od innych miast galicyjskich, ma dziś przeszło 300 skautów, a Zw. Nacz. Sk. wydaje pismo, oddawna już znanego a tak wielce zasłużonego „Skauta”.

Powoli zaczyna odżywać harcerstwo na prowincji.

Istnieją drużyny lub większe oddziały skautów i skautek w Stryju, Rzeszowie, Tarnowie, Przemyślu, Nowym Sączu, Wadowicach, Nowym Targu, Zakopanem i wielu innych miejscowościach.

Kraków może się poszczycić zaledwie niespełna 300 skautami, ale zdaje się, że naprawdę się niemi będzie mógł w przyszłości poszczycić.

Prawdę rzekłszy obecnie to jeszcze — przeważnie ,,młodzizna'', ledwie gdzieniegdzie starszy jakiś wywiadowca, a tych najstarszych, bodaj ze świecą szukaj!

Odbyłem niedawno całą peregrynację, aby ich odwiedzić...

Skauci krakowscy prowadzą prawdziwy sklep z prawdziwym oknem wystawowym, kasą, ladą i... prawdziwym towarem (t. j. materjałami piśmiennymi i przyborami skautowymi; sklep w śródmieściu, od frontu; sklep posiadający nawet prawdziwych klijentów).

A podobno zyskali sobie klijentelę bardzo porządną dzięki uprzejmemu obejściu no... i innym cechom, któremi ,,dobrzy i przezorni kupcy'' się odznaczają...

W sklepie powitał mnie nieśmiały ,,biszkopcik'' zapewne z ,,drugiej gimnazjalnej'', bo na kołnierzu widniały dwie srebrne ,,beleczki''. Może go nieśmiałość chwyciła dlatego, że goście tacy, jak ja, to — dzisiaj w Krakowie prawie ,,mityczne postacie'', z za siedmiu gór i rzek; a może po prostu sama moja postawa go przeraziła?!

Miał minę, jakby nie dowierzał, że wogóle ,,ze stron tak dalekich'' można jeszcze przyjechać do Krakowa. Ale niedługo się rozruszał, szczególnie, gdy poczuł za sobą w odwodzie ,,tęgich skautów''. Żdziwiłem się prawie, gdy takich poważnych skautów oczy moje tutaj ujrzały. Zaczęli oni koło południa wpadać do sklepu, widocznie wprost ze szkoły, rzucali książki i zabierali się do pracy. A praca właśnie się zaczynała, bo o tej porze, gdy kończą się wykłady przedobiednie, Kraków się zaludnia na dobre, i zaludnia się nasz sklepik skautowy (przepraszam — sklep), naturalnie... klijentami''. Mimo to moja osoba widocznie naszych skautów wciąż niepomiernie dziwiła, bo zauważyłem, że jeden z poważnych wywiadowców, poczciwe, tęgie, przysadziste ,,skaucisko'' — p. o. komendanta dyżuru w sklepie, musiał dość często nawoływać: — Staszek, gdzie podziałeś sklejanki?— Jędrek, czy uporządkowałeś bibułę? Nie gap się na prawo i lewo? — Telimeno (tak bowiem historycznie czy po literacku przezwano pewnego dzielnego skauta) czy korespondencja ze Lwowem załatwiona?—

Niedługo się zjawił sam komendant krakowski, osoba pomiędzy skautami szanowana i lubiana, a wielce popularna, zjawił się druh ,,kadeesiarz'', kilku młodych instruktorów, drużynowych. Ci wzięli mnie wnet w swoje obroty, co niech się wam nie wydaje tak naturalnym, bo krakowiacy (i to, zapewne, wbrew powszechnemu mniemaniu!), jak się nieraz miałem sposobność przekonać, są — ,,narodem spokojnym i ustatkowanym'' czasem nawet to flegmatycy lub ,,poprostu sensaci''. Jednakże wszyscy byli bardzo poczciwi, przeto wyszedłem cało, skończyło się tylko na tem, że zabrali mnie na obiad, potem na pogawędkę, na kolację i na pogawędkę, śniadanie, pogawędkę, obiad no i tak dalej... znów na pogawędkę...

Mówiliśmy o wszystkiem. Nie dałem biednym Krakowiakom spokoju, ale i oni mi też prawie nie dali wytchnienia! Musiałem im dokumentnie opowiedzieć, jak to u nas było i jak jest.

Otoczył mnie odrazu ,,orszak reporterów'' od ,,organu urzędowego'': ,,Coś Wam powiem'' (pismo IV Krak. druż. Sk.). Podobno między nimi znajdował się nawet sam redaktor, ale tego nie mogłem sprawdzić, występował ,,incognito'', a tajemnic redakcyjnych pilnie się przestrzega!

Skutek ,,Interwiewu'' ze mną miał być ten, że w jednym z numerów owego ,,organu'' miało się ukazać sprawozdanie z pracy u nas.

Rzeczywiście tak się stało, ale, zamiast sprawozdania, redakcja (sądzę, naturalnie, że jedynie przez pomyłkę!?) umieściła hymn pochwalny na cześć pracy harcerskiej u nas! Niestety, nie będziecie mogli sami tego osądzić, bo pisemko to u nas jest wielką rzadkością i chyba znajdziecie je gdzieś w muzeum osobliwości!

Ale kto bardzo ciekawy, niech zawita do redakcji, a tam za szkłem będzie mógł obejrzeć okaz, ,,jeden'' z ,,jedynych'' pięćdziesięciu istniejących (bo, zdaje się w tylu egzemplarzach jest owo pismo ,,wybijane''). Ale, jeżeli który z Was się zdecyduje, niech wie, że weźmie go odrazu chętka zostania redaktorem: na drugi dzień ukaże się niezawodnie nowe ,,pismo'' a pod nim będzie widniał redaktorski podpis wczorajszego naszego gościa. Tak powstało już kilka pism harcerskich, a pono ma powstać jeszcze kilka (przynajmniej tak mnie zapewniano!).

Nie myślę jednak tem wcale odstraszać was od odwiedzin redakcji ani od zamiarów ,,wydawniczo-prasowych'': i jedno i drugie łączy w sobie ,,przyjemne z pożytecznem''.

Oto, naprzykład, ,,Ognisko'', organ VIII Wr. Dr. Harc. im. Pułaskiego. Co za wydanie! Chybaby się sam ,,Gebethner'' nie powstydził? A treść? Dobrze niejednemu z nas zrobi, jak sobie przeczyta w pierwszym numerze kilka uwag o gawędzie (podpisane literami ,,J. M.''). Nie chciałbym badać rzeczy niedyskretnie i dlatego nie pytam, kto to pisał (zresztą robię to tylko dla formy!), ale trudno mi się powstrzymać od uwagi, że ów ,,jot em'' w sedno trafił.

Przecież brak nam ogromnie dobrych gawęd i dobrych gawędziarzy... A tymczasem pełno ich

dokoła, gadać wszyscy umieją i, co ,,ważniejsze'', lubią, choć zwykle nie wtedy, ,,kiedy potrzeba''.

A gawęda, prawdziwa gawęda — a nie wykład — jak słusznie zaznacza autor — to nie żadna filozofja, lecz rzecz prostsza, niżby się komu zdawać mogło.

Ponieważ ,,Ognisko'' sprzedają w K. D. H., każdy może je nabyć, a wtedy między innemi zagadkami niechaj odgadnie jedną: w jakim celu jest na 4-tej stronie numeru pierwszego umieszczony, ,,artykuł'' o gotowaniu (z ,,Wandervogel Kochbuch'')?

Dla ułatwienia odpowiedzi dodam, że umieszczono tam aż... 5 wierszy owego tłumaczenia.

Rozwiązanie jest tem trudniejsze, że w numerze drugim znajdziecie na ogólną ilość około 650 wierszy aż 250 z kucharstwa. Widocznie harcerze tej drużyny (nie chcę ich dotykać, boć to podobno jedna z wzorowych drużyn) pragną się specjalnie poświęcić sztukom kulinarnym, a może tylko sprawności kucharza, która właśnie niedawno została ogłoszona.

Jeśli zgadłem, to mogę im przysłużyć się radą, by zajrzeli do ,,Skauta'' Warsz. (№ 10 z 1914 r.) lub ,,Letnisk mł. szk.'' (str. 89—110), gdzie o tym przedmiocie pisał jeden ze znanych naszych ,,kuchmistrzów polowych''.

Za to w ,,G a w ę d z i e'', piśmie II Hr. Dr. Harc. im. Rejtana ani słowa o kucharstwie się nie wspomina, choć mówi się o wielu rzeczach odrazu, o żadnej nie kończąc. Wszędzie widnieją pod ostatniemi wierszami symbole ,,d. c. n.'', co może równie dobrze znaczyć ,,dalszy ciąg nastąpi'', ,,jak dalszego ciągu nie będzie''. Ale nie będę dogryzał redakcji ,,Gawędy'' w ,,tak brzydki sposób'', tembardziej, że treść na to nie zasługuje, a redakcja sobie zastrzega w słowie wstępnem, żeby nie myśleć, że jest to numer pierwszy i ostatni, a przez to już składa solenną obietnicę, bo na słowie harcerza jeszcze przecież można polegać!

Jakże jednak niegrzecznie opuściłem moich krakowiaków i zagłębiłem się w szukanie ,,plam na słońcu naszej prasy''? Nic to nie szkodzi; prawda, nie obrazicie się druhowie? Zabieram się więc znów do was!..

Lecz odetchnijcie... bo oto zbliża się już godzina duchów''. Temu, że harcerze chodzą wcześniej spać, zawdzięczacie, mili druhowie, i wy z Krakowa, i wy redaktorzy, i wydawcy od prasy młodszej czy starszej, że zostawiam was w spokoju, życząc wam powodzenia w pracy!

,,Referent od Redakcji''.

Na drugi dzień.

Ponieważ harcerza powinna cechować otwartość więc podzielę się z wami moją troską. A jest się czem gryźć. Oto gdy dzisiaj przyszedłem do jednego z redaktorów, samego redaktora, tego ,,ważniejszego'', i wysypałem przed nim zawartość mej teki, ledwie rzucił okiem (a ma oczko dziwnie przenikliwe!) na pierwszą stronę mojego arcydzieła, które wczoraj dla was przygotowałem, aż tu wsiądzie na mnie niespodzianie (bo i redaktor sam, ten ważny potrafi czasem powiedzieć coś mniej przyjemnego!).

— Jak można tak nasze drużyny zrąbywać, jak można żądać, by nadsyłały sprawodania, gdy ich wcale redakcja do tego nie wzywała. I to odrazu w pierwszym numerze w takim świetle przedstawiacie nasze drużyny! Itd. itd. itd.—

Ale powszechnie wiadomo, że najsroższy redaktor nie taki straszny, jak się zdaje, a moja odwaga jest też znana, więc walę ,,prosto z mostu'' (jest to moje zwykłe wyrażenie):—Druhu Redaktorze, zgłaszam najposłuszniej, że od swojego nie odstąpię, chyba, że rozkaz! Nie jestem bowiem ani drwalem, ani nie zdobyłem dotychczas sprawności cieśli, a dlatego nie potrafię wogóle ludzi, ani drużyn zrąbywać! Nie jestem wprawdzie Herodem, lecz i drużyny nie są niewiniątkami. Niech Druh Redaktor poczeka kilka tygodni, jak tylko nadejdą sprawozdania i raporty, a przekona się, że każda drużyna coś ma na sumieniu!—

Udobruchał się redaktor i rzekł:—Może to być swoją drogą, ale chyba tymczasem napiszecie przy końcu waszej kroniki, że nieprawdą jest to, coście wypisali na jej początku.—

Na to znów ja się oburzyłem i ,,prosto z mostu'' mówię:—I tego nie uczynię, bo jestem harcerzem; a co napisane to i drukowane być musi; jedynie godny harcerza sposób, mówić prawdę, szczerą prawdę.—

Ździwił się redaktor, ale przyznał mi słuszność, bo na takie ,,dictum'' nie było co rzec. Zastrzegł jednak, żebym umieścił sprostowanie tej mniej więcej treści:—Dotychczas redakcja nie wzywała oficyalnie Drużyn do składania sprawozdań, ale teraz zwraca się z prośbą do wszystkich harcerzy, by, jeśli nie oni sami, to ich listy i prace jaknajczęściej odwiedzały redakcję!''

Żeby zaś przekonać ich, że są jeszcze porządni ludzie, skorzy do pióra, umieszczamy tu znalezione w głębiach tek redakcyjnych aż trzy sprawozdania z drużyn: z Kielc, Tomaszowa i Żyrardowa ,,dla dobrego przykładu''!

,,Referent od Redakcji''.

Z życia naszych drużyn.

TOMASZÓW.

Ruch harcerski w Tomaszowie zaczął się rozwijać, jak i w innych miastach Królestwa Polskiego w roku 1911-ym. Wybuch wojny przerwał owocną pracę, gdy wielu harcerzy wstąpiło do Legjonów, a nowomianowanego drużynowego Moskale aresztowali. W bezczynności pozostawaliśmy do października 1915 roku. kiedy puszczony na wolność drużynowy,

zaraz wziął się do pracy z całą energją i zaparciem się siebie i już pod koniec października 1915 roku postawił na nogi dwa zastępy, z których mieli wyjść przyszli instruktorzy, gdyż tych zupełnie zabrakło. Lecz dorywcza ta praca i przytym w warunkach nieprzyjaznych nie mogła wydać odrazu pomyślnych owoców.

W listopadzie 1916 r. zostaliśmy uznani za organizację legalną i od tej chwili praca nasza idzie składniej. Zaraz też zaczęliśmy się przygotowywać do popisu, który miał się odbyć w miejscowej szkole handlowej. Odbył się dnia 3 grudnia. O godz. 7 rano zbiórka, krótka mustra drużyny i marsz do kościoła. W mieście już daje się zauważyć ruch. Na nasz widok skupiają się gromadki ludzi, coś tajemniczego szepcą do siebie i oto do naszych uszu dolatuje słowo: ,,Legjony''... Przed kościołem większa już ciżba, która za nami tłumnie pcha się do kościoła. Podczas Ewangelji oddajemy ukłon harcerski, chorągiewki podnosimy w górę; podczas Podniesienia pochylamy je. Po mszy następuje poświęcenie chorągiewek. Wszyscy harcerze bez rozkazu stanęli na baczność. Niejednemu z nas wargi z lekka drżały, tak byliśmy przejęci uroczystością chwili! O godz. 2½ p.p. zaczyna się popis. Naprzód zastęp pierwszy buduje szałas i mierzy wysokość szkoły, przed szałasem; zastęp trzeci—kuchnię polową; zastęp drugi most linowy... W niejednym z widzów energiczne i posłuszne wypełnianie rozkazów budziło podziw i uznanie dla idei harcerstwa. Pięć minut trwa sygnalizacja. Następnie czwarty zastęp, ratowniczy (przeważnie uczniowie z drugiej i trzeciej klasy, najmłodsi) maszerują, jak harcerze wyrobieni, z niezachwianą wiarą w siebie szykują nosze dwuch rodzajów, przerabiają chwyt pożarniczy, ratowanie topielca, sztuczne oddychanie. Z ogólnej wesołości, jak i z ogólnego zaciekawienia publiczności podczas tych ćwiczeń, sądzić możemy, że się najlepiej podobał wszystkim zastęp ratowniczy, chociaż i most, i szałas, i kuchnia wzbudzały zachwyt. Później następuje fechtunek, ćwiczenia gimnastyczne: kolumna szwedzka, bokserka i jeden obraz sokolski; mustra drużyny. Defilada, śpiew ,,Marsza Strzelców'', nakoniec po ustawieniu się w szyku rozwiniętym komenda: ,,Baczność!'', ,,Czapki w lot!'' i... oto nagle z sześćdziesięciu ust wybiegło: ,,Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród!...''

T. Leszer, plut.



Z pierwszej uroczystości harcerskiej w Żyrardowie.

ŻYRARDÓW.

Praca harcerska w Żyrardowie, zapoczątkowana została jeszcze w sierpniu r. z. przez jednego z drużynowych warszawskich. Zorganizował on mianowicie kursy dla instruktorów harcerskich, jednak wyjazd jego przeszkodził mu w dalszem prowadzeniu pracy; wówczas cała praca harcerska uległa przerwie, była jakby w zawieszeniu aż do końca października r. z., kiedy został przedstawiony patronatowi projekt organizacji ,,sztabu'' mającej powstać drużyny. Jest to zjawisko anormalne w tworzeniu nowych drużyn, jednak w Żyrardowie były takie warunki miejscowe, że trzeba było najpierw stworzyć ,,sztab'', a później temu ,,sztabowi'' powierzyć tworzenie drużyny. I rzeczywiście odtąd zaczęła się praca twórcza. Stworzenie drużyny zupełnie nowej było zadaniem bardzo trudnem zwłaszcza, że już przedtem były podejmowane dwukrotne usiłowania w tym kierunku i dwa razy spełzły na niczem. Dotychczas było bardzo smutnym objawem, że opinja publiczna sprzeciwstawiała się ruchowi harcerskiemu, co jeszcze wzmogły te właśnie dwukrotne niefortunne usiłowania.

Potrochu jednak zaczęło się dziać coraz lepiej: już w grudniu r. z. do patronatu, zwanego u nas Radą Opiekuńczą drużyny, przystąpiło kilka nowych osób z pośród poważniejszych miejscowych obywateli. Dzięki temu zyskaliśmy poparcie miejscowej szkoły średniej, z którą weszliśmy w stały stosunek. W przeciągu stycznia drużyna powiększyła się liczebnie w dwójnasób i dosięgła przeszło 80-ciu harcerzy; otrzymaliśmy też dokument, zaliczający drużynę naszą w poczet drużyn Z. H. P. Kierując się wskazówkami Komendanta Naczelnego Z. H. P., zakrzątneliśmy się około przygotowania się do uroczystego przyrzeczenia harcerskiego. Poprzedziło je obszerne rozważenie prawa harcerskiego, a samo przyrzeczenie, związane z uroczystem poświęceniem sztandaru odbyło się dnia 19 lutego roku bieżącego.

Od rana już, bo od godziny 8-ej, zaczęły się zbierać małe oddziałki młodzi harcerskiej na obszernem podwórzu plebanji i w sali przybranej zielenią i sztandarami, gdzie nam łaskawie udzielił gościnności ks. kan. Włodzimierz Taczanowski.

O 8½ zebrana tam już była cała drużyna, zjawili się także przewodnicy, drużynowy i plutonowi i zaczęli sprawiać szyki. Gorączka, jaka opanowała chłopców, pomału zaczęła się udzielać i plutonowym. Ci jednak opanowali się wkrótce i ład został zaprowadzony. Zapowiedziana była na godzinę 9-tą msza św., po niej w kościele miało się odbyć poświęcenie sztandaru, potem zaś w sali na plebanji, która nam zastępowała Izbę harcerską, mieliśmy złożyć uroczyste przyrzeczenie harcerskie.

Na trzy dni przedtem rozesłano zaproszenia gości, rodziny harcerzy zostały przez chłopców zawiadomione; a oprócz tego w przeddzień uroczystości zapowiedziana była ona z ambony przez ks. kanonika. Nic więc dziwnego, że pomimo dnia powszedniego kościół był prawie pełen.

Punktualnie o 9-ej rozwarła się brama podwórza plebanji i oczom zgromadzonej przed kościołem publiczności ukazała się drużyna w zupełnym ordynku, ustawiona w kolumnie czwórkowej; na czele stał plutonowy I sztandarowy, za nim drużynowy druh Stefan Wyrzykowski, ze swym przybocznym, a za nim dopiero plutony pierwszy i drugi.

Padła komenda i drużyna ruszyła równym, miarowym krokiem do kościoła. Tu dla harcerzy zostawiono główną nawę kościoła i w niej ustawiła się drużyna tym samym porządkiem.

Skupienie widoczne wśród publiczności stwierdzało, że miasto naprawdę jest zainteresowane młodą organizacją. Wszystkie ruchy harcerzy, trzymanych i w kościele pod komendą, były tak pilnie obserwowane przez publiczność, że najmniejsza nawet niedokładność nie mogłaby była się ukryć. Sądząc jednak z opinji ogólnej, musiało tych niedokładności być bardzo niewiele, bo całokształt wywołał wrażenie bardzo dobre.

Kilkakrotnie, z ukosa spojrzałem na swój pluton: młode, dziecięce prawie twarze harcerzy tak były poważne, tak przejęte ważnością chwili, że rzeczywiście śmiało można było twierdzić, iż rozumieją swe stanowisko i ważność przyrzeczenia, jakie mają złożyć.

Po skończonej mszy św. ukazał się na ambonie ks. kan. Taczanowski i zwrócił się do drużyny w słowach: ,,Witam was, pierwsza harcerska drużyno; witam imieniem Boga i Ojczyzny!'' — Teraz już nie było ani jednej pary oczu, którąby się nie zwróciła na stojących w głównej nawie, młodocianych rycerzy, a ci z nadzwyczajną uwagą słuchali mowy ks. Taczanowskiego, który w pięknych słowach odmalował im ich obowiązki i powołanie; wskazał przykłady rycerskie jeszcze z historji starożytnej, a na zakończenie wyraził ufność, jaką Ojczyzna pokłada w tym właśnie młodocianym harcerskim pokoleniu.

Gdy ks. kanonik schodził z ambony, znowu spojrzałem na harcerzy: błyszczące oczy i dumnie wzniesione czoła wskazywały, że wszyscy pojęli czego się po nich spodziewają i że ufności nie zawiodą. Ileż to przeciwności, ile przeszkód spotka ta młodzież w życiu; ile razy zniechęcona i rozgoryczona na wszystkich i wszystko, możeby oddała się gnuśności — jednak wierzę, że wierna prawu harcerskiemu, przetrwa to wszystko, zwycięży przeszkody i, da Bóg,



Na placu Katedralnym w Kielcach dnia 3 maja 1916 r.

żyć będzie szczęśliwie w wolnej Polsce.

Z rozmyślań tych wyrwała mnie komenda ,,baczność!": ks. kanonik znowu ukazał się przed frontem drużyny dla poświęcenia sztandaru, podczas czego drużyna stała na ,,baczność". Potem zaśpiewaliśmy ,,Boże, coś Polskę" i z hymnem tym wyszliśmy z kościoła, w tym samym porządku wciąż wracając na plebanję, gdzie wobec licznie zgromadzonych zaproszonych gości, zaczęło się składanie przyrzeczenia.

Nad stołem bielą nakrytym były skrzyżowane dwa sztandary, a między nimi umieszczono świeżo poświęcony sztandar naszej drużyny. Pod sztandarami stanął Prezes Rady drużynowej, p. sędzia Aleksander Pawłowski; przed nim zaś ustawiły się in corpore nasze drużyny. Pan Pawłowski wyraźnym i donośnym głosem odczytał prawa harcerskie, a potem rotę przyrzeczenia. Szarże w postawie na ,,baczność" i wobec całej drużyny, słowem ,,przyrzekam" stwierdziły przyjęcie tych praw w całej rozciągłości.

Teraz plutonowy, podchodzącym zastępowym ze swymi zastępami, czytał rotę przyrzeczenia, a te kolejno stwierdzały je tym samym słowem ,,przyrzekam".

Po odebraniu przyrzeczenia, p. Prezes wygłosił krótkie, ale treściwe przemówienie, malując w nim szczytne zadanie harcerstwa, jego piękno i tę dumę, jaką każdy harcerz musi uczuwać z prawa noszenia tego tytułu.

Na zakończenie zaśpiewaliśmy ,,Warszawiankę".

Tak po raz pierwszy Żyrardów zapoznał się z naszą drużyną.



Pierwsza Kielecka drużyna harcerska im. pułk. Czachowskiego.



Zarybek harcerski.

KIELCE.

Praca harcerska w Kielcach rozpoczęła się w drugiej połowie 1912 r. wśród uczniów 7-mio klasowej szkoły handlowej. Na wiosnę 1914 r. drużyna liczyła do 100 ludzi. Wybuch wojny przerwał pożyteczną działalność, wznowiono ją jednakże już w styczniu 1915 r., utworzono wówczas pluton, złożony z 3 zastępów, po raz pierwszy zorganizowano zastępy z chłopców z jednej klasy. Wycieczek wskutek bliskości linji bojowej urządzać nie było można, praca też ograniczała się do zebrań zastępów, egzaminów na 2-gi stopień i śpiewu chóralnego, który był doskonałym środkiem zżycia się wszystkich chłopców.

Zajęcie Kielc przez wojska niemieckie dało nam możność jawnego i większego jeszcze rozwoju. Pierwszym publicznym występem był udział w pogrzebie oficera z 1863 r., W. P. Odtąd liczba harcerzy stale wzrasta. W lipcu t. r. przeformowano pluton na drużynę, urządzono kurs instruktorski oraz 5-cio dniowy obóz w Wąchocicach (o 2 mile od Kielc). We wrześniu z rozpoczęciem zajęć szkolnych, wskutek ogromnego napływu młodzieży do szkoły, drużyna rozrasta się do 5-ciu plutonów starszych, oraz 4-ch plutonów ,,biszkoptów".

Stanowiska szarż obejmują dawni harcerze z czasów przedwojennych.

Starano się postawić wysoko mustrę i obozowanie, dzieki licznym ćwiczeniom i wycieczkom. Jednocześnie prawie powstają drużyna im. Kościuszki w szkołach ludowych (jesień 1915 r.) i drużyna rzemieślnicza im. Kilińskiego (wiosna 1916 r.).

Baczną jednakże uwagę zwrócono na wypełnianie obowiązków szkolnych (jeden z plutonów na cen-

zurach miał w pierwszym kwartale tylko trzy stopnie niedostateczne).

Wakacje r. 1916 wykorzystano na 3-tygodniowy obóz w Rytwianach (około 50-ciu chłopców).

Praktyka życia harcerskiego w obozie wyrobiła z uczestników dobrych zastępowych i instruktorów, których okazała się potrzeba, przy obsadzaniu stanowisk szarż w 4-ch drużynach, wraz z początkiem roku szkolnego 1916/17. Praca w tym ostatnim roku wchodzi na coraz szersze tory, widocznie tężeje. Liczba harcerzy w porównaniu z rokiem poprzednim zmalała, co jednakże może wyjść tylko na dobre, odpadły bowiem elementy słabsze, widzące w harcerstwie nie szkołę wychowawczą, ale chwilową rozrywkę.

Stworzono cały szereg kursów sprawności: elektrotechniczny, którego członkowie wykonywują wiele robót w mieście, znajdując w ten sposób naukę, zajęcie i zarobek; kurs szewctwa, rymarstwa, slöjdu i w. in. Ze specjalności czysto harcerskich: kurs strażacki, prowadzony przez oficera p. Rudnickiego, na który uczęszcza 30 chłopców, w wieku powyżej lat 15; kursy na sprawność topografa, sygnalisty i szermierza, oraz kurs służby ambulansowej.

Ogółem uruchomiono sprawności 9, na 6 zaś otworzono zapisy.

Dla zastępowych i plutonowych urządzono kurs instruktorski, którego zadaniem jest uzupełnienie ich wykształcenia, podanie pewnych wskazówek i wytycznych, co do kształcenia samych siebie i powierzonych sobie chłopców. Egzaminy na stopień 2-gi odbywają się stale i na ogół dobrze wypadają, przyczym niektórzy starsi harcerze ,,odgrażają się'', iż na wiosnę składać będą egzamin na pierwszy stopień. Czy zadaniu podołają, czas pokaże. Organem kieleckich drużyn jest litografowane pisemko p. t. ,,Podręcznik Skautowy''. W czasie świąt Bożego Narodzenia urządzono dla wszystkich harcerzy i harcerek wspólną choinkę.

Słowem praca w Kielcach idzie dobrze, a zapowiada się coraz lepiej: chłopcy interesują się sprawami harcerskiemi, wszystkie kursy są licznie obesłane, całość idzie żywo i sprężyście. O pracy żeńskiej nie piszę, sądzę bowiem, iż która z naszych dzielnych druhen opisze w ,,Harcerzu'', co kieleckie harcerki zdziałały, co teraz robią i jakie mają plany na przyszłość.

Harcerz.

OD REDAKCJI.

,,Oszczędny pracuje dziś, a zaopatruje się na jutro''.

Redakcja z zadowoleniem przyjmuje od harcerzy materjały do pisma.

Artykuły, sprawozdania i t. d. do umieszczenia w piśmie i listy do Redakcji winny być nadsyłane pod adresem: **Warszawa, ul. Złota 30. Gł. Kw. Z. H. P.—Redakcja ,,Harcerza".**

Prace winny być pisane b. czytelnie i nadsyłane w listach opłaconych. Jeżeli pożądany jest zwrot artykułów, fotografji i t. d. nadesłanych lub odpowiedź na list, należy dołączyć przy przesyłce kopertę zaadresowaną i opatrzoną markami.

Cena zeszytu wynosi w Warszawie i na prowincji 2 złp. Składy główne—Warszawa—1) Gebethner i Wolff — 2) Główna kwatera Z. H. P.

Redakcja przyjmuje ogłoszenia od drużyn i poszczególnych harcerzy po cenie 15 kop. za wiersz garmontowy jednoszpaltowy.

Dla innych ogłoszeń cena wynosi 30 kop. za wiersz garmontowy lub jego miejsce.

Za treść ogłoszeń Redakcja nie odpowiada.

PODZIĘKOWANIE.

IX Drużyna Harcerska im. Sowińskiego, niniejszym składa serdeczne podziękowanie wszystkim tym, którzy przyczynili się do zorganizowania i wystawienia ,,Jasełek'' w dniu 21 stycznia r. b. , przedewszystkim Dr. komendantowi I-o Okręgu za właściwe poparcie, Dr. Milewskiemu za ofiarowanie sali na próby; Zarządowi Teatrów Miejskich za łaskawe wypożyczenie dekoracji; firmie, ,,Fryderyk Puls'' za ofiarowanie bibułek na programy; Panom i Paniom, Druhom i Druhnom, którzy przyczynili się do rozprzedaży biletów i programów, oraz całej p. t. Publiczności, która poparła wysiłki młodych aktorów-harcerzy i mimo zimna panującego na sali, raczyła swoją obecnością uświetnić przedstawienie.

TREŚĆ ZESZYTU:

Redaktor i wydawca Konrad Chmielewski. Druk Piotra Laskauera. Warszawa, Marjensztad 8.

Za pozwoleniem Niemieckiej Cenzury 2/IV 1917 r.